Nr. 47. We Lwowie Czwartek dnia 16 Lutego 1899 r. Rok XXXII.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano

Przedpłata wynosi we Lwowie:

Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł 50 ct. miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.

Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.

Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek – kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego", plac Marjacki liczba 6 i 7. Telefon Nr. 171.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Numer „Dziennika Polskiego" kosztuje 6 ct.

Z chwili bieżącej.

Lwów 15 lutego

(Sprawy węgierskie).

W chwili, gdy to piszemy, toczą się we Wiedniu rokowania, które mają wpłynąć stanowczo na losy parlamentu węgierskiego. Według pism tak opozycyjnych, jak rządowych, ma to być ostatnia próba, z tą różnicą, że co do konsekwencji tych prób zdania są różne. Opozycja sądzi, że Banffy powróci już dymisjonowanym ministrem, prasa liberalna zaś twierdzi, że przesilenie skończy się ustąpieniem Banffy'ego tylko w takim razie, jeżeli opozycja zgodzi się na propozycje rządu. Inaczej bowiem ten ostatni zdecydowany jest zastosować najenergiczniejsze środki, celem przywrócenia normalnych stosunków.

Ze wszystkiego, co z Budapesztu donoszą, wynikać się zdaje, że z jednej strony opozycja gotową jest znacznie zmodyfikować swoje żądania, z drugiej br. Banffy jest już aż nadto zmęczony swoją rolą — zaiste nie do pozazdroszczenia — „ministra w wagonie". Wierzymy też, że chętnie zrzeknie się władzy i powróci w zacisze domowe, pozostawiając dalsze przyjemności swemu następcy. Ale w interesie powagi władzy i rządu wogóle, a specjalnie w interesie rządu z tej strony Litawy leży, ażeby br. Banffy nie ustąpił przed zwycięską opozycją. Ustąpienie Banffy'ego musi poprzedzić sama kapitulacja opozycji, jeżeli krzykactwo nie ma wziąć góry nietylko w Węgrzech, ale i w Austrji. Z tego jednego i jedynego powodu interesować nas może — aż nazbyt nudne zreszią — przesilenie węgierskie.

(„Oswobodziciele")

Nie tylko Rosja-carat staje się uciążliwą oswobodzicielką; trafić się to może i Ameryce-republice. Pod Manillą polała się krew!

Zarówno „junta" filipińska, jak i przywódcy powstańców zaręczają uroczyście, że bitwę pod Manillą rozpoczęły wojska amerykańskie. Amerykanom rozchodziło się przedewszystkiem o to, aby wywrzeć nacisk moralny na senat, mający zatwierdzić traktat pokojowy z Hiszpanją. Pod Amerykanami rozumiemy tu stronnictwo rządzące w Stanach Zjednoczonych, które uprawia politykę „imperjalistyczną" — politykę zaborczą, zdążającą w pierwszym rzędzie do nabycia kolonij zamorskich. Otóż wydaje się zupełnie prawdopodobnem że z „Białego domu" wysłano odnośne instrukcje, bodaj, czy nie w połowie ubiegłego miesiąca, do admirała Dewey'a i jenerała Otisa, aby w chwili danej przekonali cały świat, że we własnej obronie musieli działa i karabiny przeciw Filipińczykom skierować. Traktat pokojowy z Hiszpanją pozostawia, jak wiadomo, Filipiny na własność Stanom Zjednoczonym. Otóż, aby uzyskać ratyfikację tego traktatu w senacie, Mac Kinley i jego ministrowie użyli skutecznego, lecz niezbyt uczciwego środka: wywołali zbrojne starcie z Filipińczykami dla przekonania opinji amerykańskiej, że Filipińczycy są ludźmi, z którymi tylko za pomocą ołowianych argumentów można traktować. Ze względu na to, że do zatwierdzenia jakiegokolwiek układu międzynarodowego potrzeba w senacie Stanów Zjednoczonych nie prostej większości głosów, lecz dwie trzecie głosujących — zdobyto dopiero po wiadomości o wypadkach pod Manillą głosy niepewnych senatorów!

(Konferencje pokojowe).

Niemało było kłopotu z wyszukaniem stolicy, w którejby mogła się odbyć zaprojektowana przez Rosję konferencja pokojowa. W Petersburgu nie chciał jej mieć rząd rosyjski, gdyż się przekonał, że nie można się po niej spodziewać wielkich rezultatów. Król duński nie chciał mieć konferencji w Kopenhadze, gdyż jako starzec nie życzył sobie licznego zjazdu, kłopotu i wydatków, a nadto ewentualna demonstracja ludności duńskiej na rzecz neutralizacji mogłaby przysporzyć rządowi trudności. Król belgijski, zrażony tem, że uchwały brukselskiej konferencji z roku 1870 dotychczas nie weszły w prawa międzynarodowe, stanowczo nie zgodził się na konferencję w jego stolicy. O Szwajcarji nawet nie pomyślano, chociaż z tym krajem złączone są dwa pierwsze tego rodzaju zjazdy. Gdyby młodziutka królowa holenderska, widząc ambaras rządu rosyjskiego, nie zaproponowała sama na zjazd swój stolicy Hagi, nie byłoby gdzie odbyć konferencji. Żartowano już w pismach humorystycznych, dowodząc, że kwestja pokoju między państwami, uzbrojonemi od stóp do głowy, sprowadzi takie zaburzenia w organizmach delegatów, dyplomatycznych, że najwłaściwiej byłoby urządzić konferencję gdzieś między Karlsbadem a Marienbadem, bo w przeciwnym razie dyplomaci pochorują się, rozleje się w nich żółć i wtedy, wróciwszy do domu, zaraz urządzą wojnę. W cichej Hadze, wśród łagodnie usposobionych Holendrów, konferencja nie będzie narażoną na nieprzyjemne niespodzianki. Ale jej znaczenie zmniejsza się coraz bardziej, głównie dla tego, że właśnie teraz wszystkie prawie mocarstwa, nie wyłączając Rosji, bardzo gorliwie powiększają swoje siły zbrojne. Wszystkie tłumaczenia tego faktu nie mogą przekonać społeczeństw, iż w tym wypadku niema rażącej sprzeczności pomiędzy czynami, a słowami.

Nowe gimnazjum.

Uchwałą z 8 lutego 1898 odstąpił sejm petycje miast Łańcuta, Dębicy, Tarnobrzega, Żółkwi i Śniatyna o założenie w tych miastach gimnazjum lub szkoły realnej, radzie szkolnej krajowej do zbadania i odpowiedniego załatwienia.

Wykonywując powyższe polecenie, rada szkolna krajowa oznajmiła wydziałowi krajowemu, że petycje te poddała wszechstronnej rozwadze, przyczem brała na wzgląd przedewszystkiem przepełnienie niektórych gimnazjów i nieodzowną skutkiem tego potrzebę stworzenia im ulgi przez założenie nowego gimnazjum w takiej miejscowości, którąby znaczną ilość uczniów, uczęszczających obecnie do zakładów przepełnionych, mogła ściągnąć do siebie.

Za taką miejscowość uważa rada szkolna krajowa w porównawczem zestawieniu z gminami, konkurującemi o gimnazjum, miast Mielca i Tarnobrzega, przedewszystkiem miasto Dębicę, którego położenie pomiędzy przeludnionemi gimnazjami w Rzeszowie i Tarnowie, a nadto w pośrodku powiatów, dostarczających tym zakładom bardzo znacznego zastępu uczniów, kwalifikuje się na ten cel tem bardziej, iż posiada najłatwiejszą komunikację kolejową i drogową.

Z tych powodów poparła rada szkolna krajowa w ministerstwie oświaty starania gminy miasta Dębicy o założenie tamże gimnazjum.

Natomiast nie mogła rada szkolna krajowa na razie poprzeć podań miast Łańcuta, Żółkwi i Śniatyna, gdyż — zdaniem rady szkolnej krajowej — położone są one tak blisko istniejących gimnazjów, że na frekwencję dostateczną albo nie mogłyby wcale liczyć, albo też musiałyby ją sobie dopiero wyrabiać. Rada szkolna krajowa oświadczyła jednakowoż, że w późniejszych swoich staraniach o nowe szkoły średnie będzie zapewne mogła uwzględnić także podania miast Łańcuta, Żółkwi i Śniatyna.

Produkcja literacka
na całym świecie.

Amerykanie posiadają rocznik prasy: *News paper and Bank Directory of the World*, wydawany w New Haven, podający tytuły dzienników, wychodzących w Ameryce, Europie, Azji, Afryce i Australji. W ostatnim jego zeszycie są wyliczone nazwy dzienników w liczbie 300.000, z określeniem kierunku poszczególnego wydawnictwa. W samej Ameryce liczba gazet i przeglądów wynosi około 38.000, puszczających w świat 120 miljonów egzemplarzy.

Gdyby rozwój prasy mógł służyć za miarę wartości intellektualnej danego kraju, to Belgja zajęłaby w Europie pierwsze miejsce. Mały ten naród posiada 4.700 organów drukowanych, czyli, że na 1000 osób przypada jeden dziennik. Austrja posiada jeden dziennik na 72.000 mieszkańców. Literatura, teatr i wogóle sztuki piękne są reprezentowane w Belgji przez 75 przeglądów i dzienników specjalnych, nie licząc przeglądów wyłącznie muzycznych. Filateliści posiadają ośm wydawnictw perjodycznych, a sport gołębi aż 23.

Liczba dzienników i pism perjodycznych, wychodzących w Paryżu i wysyłanych pocztą, przewyższa 20 miljonów egzemplarzy.

Co do wydawnictw książkowych, Japonja utrzymuje najzupełniejszą przewagę; publikuje bowiem rocznie 25.000 tomów. Utrzymują, że jest to podwójna liczba drukowanych dzieł w Anglji i Francji. Z tej liczby ukazało się 5000 prac, poświęconych prawu, 1300 religji i prawie tyleż astronomji. Wydano przeszło 1400 almanachów, co jest wprost rzeczą zdumiewającą. Poezja, literatura krytyczna i powieść wydały 2000 nowych prac. Co do dzienników Japonja posiada ich dotychczas tylko 300, ale liczba ta szybko wzrasta.

Po Japonji idą Niemcy. Z punktu proporcji wydanych tomów i liczby mieszkańców, kraj ten musiałby ustąpić pierwszeństwa Francji, a potem Anglji; kiedy bowiem we Francji przypada jedna książka na 1600 mieszkańców, to w Niemczech jedna na 2000. Anglja trzyma się mniej więcej na tym samym poziomie. Holandja, Danja i Norwegja stoją w drugim rzędzie, w trzecim Szwecja, a za niemi następuje Rosja.

Wartość handlowa tych miljonów tomów nie zawsze pozostaje w prostym stosunku do ich liczby. Zależną jest od zasobów danego kraju i od środków popularyzowania, jakimi wydawcy rozporządzają.

Niemcy eksportują książki we wciąż wzrastającej liczbie. Przed piętnastu laty wartość tej produkcji wynosiła 15 miljonów zł., a w roku 1898 wzrosła do 30 miljonów. Połowa tej sumy przypada na Austrję. Największą klientelję posiadają w Szwajcarji, Stanach Zjednoczonych, Rosji, Anglji i Francji. Francja, otrzymując od Niemiec 2,000.000 tomów, wysyła im 2,700.000. Jest to jedyny kraj, utrzymujący przewagę w wymianie książkowej z Niemcami.

Anglja może się pochwalić wielką płodnością. Autorki i nowelistki wyrastają tam, jak grzyby po deszczu. Nakładcy miejscowi wydają około 800 powieści rocznie. Z tego wynika, że krytyk, sumiennie wypełniający swe obowiązki, powinienby odczytać trzy dzienuie, rezerwując sobie jedynie na niedzielę parę godzin odpoczynku.

Rosja dąży do zwiększenia swych wydawnictw. W r. 1892 *Gazette de St. Petersbourg*, pomijając wielką liczbę książek religijnych i popularnych, zaregestrowała 6.588 prac (22,900.000 egzemplarzy) napisanych w języku rosyjskim i 2.465 (6,100.000 egzemplarzy) w językach zagranicznych. W ciągu ostatnich lat, cyfry te stały w mierze.

W r. 1887 wydrukowano we Francji 12.900 prac i w tym samym okresie czasu 5.350 kompozycyj muzycznych. W ciągu tegoż roku założono 706 nowych dzienników.

W roku 1850 na wydawnictwa, wychodzące na całym świecie, zużywano papieru 221 miljonów kilogramów. Do naszych czasów liczba ta wzrosła prawie tysiąckrotnie. W samej Francji, w ciągu 40 lat, wzrosła z 40 do 550 tysięcy ton.

Chociaż autorowie współcześni odznaczają się zbyt wielką płodnością, to jednak czyż znajdziemy dziś takiego Hardy'ego, autora 600 tragi-komedyj, Lopez de Vega, który dał 1300 sztuk wierszem, tak niepohamowanych w pracy autorów, jak Kraszewski, Kotzebue i wielu innych?

A jaka jest wartość tej olbrzymiej liczby drukowanych w naszych czasach arkuszy? Zapewne wieleby trzeba miejsca, aby odpowiedzieć na to pytanie. Jakikolwiek wypadłby wyrok najsurowszych bodaj krytyków, cyfry owe będą wymownym dowodem dążenia ludzkości do światła i nie okryją nas wstydem w oczach potomności.

Wołosate czy Uzsok.

Przed kilku dniami zamieściliśmy w dodatku do *Dziennika* artykuł w sprawie budowy kolei Lwów-Sambor-granica węgierska. Artykuł ów nie pochodził od redakcji, lecz był nam nadesłany przez osoby podpisane pod owym artykułem. Zamieściliśmy go, nie badając jego treści, gdyż odpowiadają za nią osoby podpisane pod owym artykułem. Dziś otrzymujemy w tej samej sprawie wyjaśnienie od p. Ludwika Ramulta, marszałka powiatu liskiego. Wyjaśnienie to tem chętniej zamieszczamy, iż znamy dodatnią działalność p. Ramulta tak w mieście Lwowie, jakoteż w powiecie, który pod nadzorem jego pomyślnie się rozwija.

Wyjaśnienie to brzmi jak następuje:

Nieprawdą jest, że ja zgłosiłem się do posła Osuchowskiego sam lub z kimkolwiek i memi przedstawieniami wmówiłem w p. Osuchowskiego, że wspólnemi siłami przeprowadzimy kolej z Ustrzyk do Turki i Wołosatego, natomiast prawdą jest, że poseł Osuchowski zawiązał ze mną i hr. Bronisławem Lasockim komitet dla przeprowadzenia kolei Ustrzyki dolne-Wołosate z odnogą do Turki.

Nieprawdą jest, jakobym ja robił p. Osuchowskiemu daleko idące zapewnienia jak np. finansowanie i dostarczenie pieniędzy do budowy kolei i jakoby p. Osuchowski dał się tym namowom uwieść; natomiast prawdą jest, że przy zawiązywaniu komitetu dla solidarnego popierania sprawy budowy kolei Ustrzyki-Wołosate z odnogą do Turki okazywał p. Osuchowski zupełną samodzielność i należytą własną rozwagę.

Nieprawdą jest, że powiat turczański, tj. wydział powiatowy, złożył na wypracowanie kosztorysów i planów kwotę 6000 zł.; natomiast prawdą jest, że p. Osuchowski deklarował na ogólnem zebraniu interesantów budowy kolei (w dniu 4 lutego 1896 we Lwowie odbytem) imieniem wydziału powiatowego w Turce na koszta trasy i starań o kolej 6000 zł. — dotychczas jednak wpłacił tenże wydział jedynie tylko 4000 zł. tj. 2000 zł. na rachunek komitetu do Banku krajowego, 2000 zł. zaś na ręce członka komitetu p. Grzegorza Ziembickiego, który tę kwotę wypłacił trasującemu inżynierowi p. Januszowi Rypuszyńskiemu na poczet jego należytości, wynoszącej 12.231 zł. 55 ct.

Nieprawdą jest, jakoby mnie „za wszystkie czynności, podróże, stratę czasu etc. bardzo dobrze płacono"; natomiast prawdą jest, że do pokrycia wszystkich wydatków, uchwalonych przez komitet, do którego i p. Osuchowski należał, ja do dnia 12 czerwca dołożyłem kwotę 917 zł. 23 ct. i fakt ten wybrany przez Komitet kontrolor rachunkowy i członek komitetu p. Bronisław Mrazek stwierdził.

Nieprawdą jest, jakoby za staraniem posła Osuchowskiego była akcja kolei w powiecie turczańskim na jak najlepszej drodze i bym ja jako pełnomocnik komitetu mimo wezwań dalszej swej czynności zaprzestał, natomiast prawdą jest, że pomimo pisma wydziału powiatowego w Turce z dnia 12 lipca 1897 L. 1030 do mnie wystosowanego a opatrzonego podpisem p. Osuchowskiego, w któremto tenże wydział powiatowy dosłownie pisze: „Mamy zaszczyt upraszać JWPana o informacje i dane co do dalszej akcji kolejowej, **która prawdopodobnie z powodu obecnej trasy kolei państwowej na razie wstrzymaną została**", otóż prawdą jest, że mimo tego pisma, ja w pracy mej w myśl intencji komitetu wykonawczego kolei Ustrzyki dolne-Wołosate z odnogą do Turki, nie ustawałem ani na chwilę i kilkakrotnie informowałem osobiście prezesa wydziału pow. turczańskiego o dalszej akcji, a zarazem przedstawiałem temuż prezesowi tj. p. Osuchowskiemu, że pożądanem jest, by oba powiaty tj. turczański i liski wobec wykonywania głównej trasy przez rząd starały się nadal zgodnie jedynie o odnogę kolejową do Turki, jak to przez interesentów obu powiatów przy zawiązywaniu komitetu zostało jednomyślnie postanowione.

Nieprawdą jest także, jakobym ja zaniechał dalszej pracy na korzyść zawiązanego konsorcjum budowy kolei Ustrzyki-Turka-Wołosate i chwycił się innej taktyki i „krecią" robotą poza plecami wspólników zużytkowywał bez wiedzy tychże wspólne plany i kosztorysy. Prawdą jest natomiast, że zostawszy jednogłośnie wybrany referentem i pełnomocnikiem całego komitetu, złożonego tak z interesentów linji głównej, iść mającej na Wołosate, jakoteż z interesentów odnogi do Turki — miałem i mam obowiązek bronić mych mocodawców, a to w myśl tej solidarnie powziętej uchwały, że **linja główna ma iść na Wołosate, a odnoga od niej do Turki**; prawdą jest, że dowiedziawszy się, iż właściciele majątków, leżących koło Uzsoka, agitują przeciw naszemu konsorcjum i przeciw budowie koleji na Wołosate z odnogą do Turki, pojechałem natychmiast do Wiednia. W sprawie tej nie potrzebowałem się porozumiewać z nikim, gdyż jednomyślną uchwałą pełnego komitetu zostałem wyraźnie upoważniony do zarządzenia wszelkich kroków, jak również do podejmowania podróży i załatwiania wszelkich spraw jako pełnomocnik tegoż komitetu. W Wiedniu sam osobiście bez niczyjej pomocy ani pośrednictwa przedłożyłem ówczesnemu ministrowi kolejowemu JE. Gutenbergowi tudzież w ministerstwie dla Galicji sprawę dotychczasowych starań naszego komitetu i udowadniałem, że poprowadzenie kolei na Wołosate z odnogą do Turki jest dla interesów ekonomicznych krajowych i pod względem technicznym dużo korzystniejsze, aniżeli prowadzenie linji na Uzsok; w rezultacie zażądał JE. p. minister podania umotywowanego; zakupiłem przeto odpowiednie mapy i sam bez niczyjej pomocy wypracowałem szkic przejścia linji kolejowej z doliny Dniestru do doliny Sanu i wraz z odpowiednim ostemplowanym memorjałem wniosłem to podanie do protokołu ministerstwa kolei; do czynności tej nie potrzebowałem zużytkowywać planów i kosztorysów naszych tras, jakkolwiek miałbym do tego prawo i obowiązek, i z czynnością tą nie potrzebowałem się przed nikim ukrywać.

Nieprawdą jest, jakobym odbierał lub odebrał plany i kosztorysy z wydziału krajowego i takowe przerysowywał sam lub przez kogokolwiek dla użytku ck. ministerstwa; prawdą zaś jest, że te plany od czasu przedłożenia wydziałowi krajowemu leżą tam do tej chwili i ja ich stamtąd nie podejmowałem, jakkolwiek miałbym do tego prawo, i prawdą jest, że komitet,

---

(16)

Antoni Werytus.

Z pamiętników pająka.

OBRAZKI.

(Ciąg dalszy).

Kiedy o tem wszystkiem rozmawiałem z dziadzią, ten uczony człowiek znów powiedział mądre słowa:

— Cóż pomoże głupiemu, że ma bogactwa, gdy mądrości kupić nie może?

Bankier Silberbleistift otworzył mi początkowo kredyt na 8000 rubli, ale później, gdy się przekonał, jakie robię operacje, gdy usłyszał coś o Gukrze od takich, z którymi spotykał się w różnych towarzystwach, ufał nieograniczenie i dawał zawsze tyle pieniędzy, ile tylko zażądałem.

Brał on bardzo nieduży procent, taki familijny, jaki przedtem płaciłem teściowi, to jest wszystkiego 2% na miesiąc. Ale stosunek nasz pozostawał w tajemnicy, nikt się nigdy nie domyślał nawet, że bogaty finansista, prezes Silberbleistift, teść hrabiego, żyjący z całą arystokracją, ma interes z Aronem Gukrem.

Ja Silberbleistiftowi dużo zawdzięczam. On mi nietylko pożyczał (starałem się brać zawsze na krótki termin) ale i napędzał wielu klientów, z których później miałem ładne zarobki.

On mi własnego syna nastręczył jako klienta. Prawie nic na tym interesie nie zyskałem, ale to była ciekawa historja.

Młody pan Silberbleistift wcale do swego ojca nie jest podobny. Tamten pracuje, oszczędza, robi coraz to większą fortunę syn zaś hula i rozrzuca pieniądze na wszystkie strony. Dawał mu ojciec 1000 rubli, pensji na miesiąc, on wydawał 2000, i naturalnie brakujący 1000 pożyczał od którego z moich kolegów. Kiedy pan prezes podwoił mu pencję, synek wydawał 4000 i dalej zaciągał długi, a ojciec chociaż się gniewał, lecz płacił.

— Dlaczego ty nie przyjdziesz do mnie, jak ci potrzeba pieniędzy i ja później płacę lichwiarzom grube procenta? — rzecze z wymówką do syna.

— W świecie, w którym żyję, każdy porządny człowiek robi długi lichwiarskie. Muszę tak czynić jak Kocio, Kajtuś, hrabia Zyś i książę Muś, taka teraz moda — odparł z flegmą młody pan Silberbleistift.

Ojciec, pragnąc, aby syn żył w arystokratycznem towarzystwie, nie mógł się sprzeciwiać Fonsiowi (prezesowicz z Fiszla po naszemu, przemienił się w Alfonsa), więc na poczekaniu obmyślił pewną kombinację, w którą ja miałem wchodzić.

— No, kiedy już masz koniecznie pożyczać od lichwiarzów, to wejdź w stosunki z jednym tylko Gukrem, przecież musiałeś o nim słyszeć.

I zrobiło się tak, że ja Silberbleistiftowi synowi pożyczałem pieniądze brane od Silberbleistifta ojca, licząc po 6% na miesiąc.

Właściwie to mi za całą fatygę płacili tylko głupie $2\frac{1}{2}$%, bo reszta procentu była fikcją. Żeby lepiej upozorować, jak pan prezesowicz narówni z hrabiczami i książątkami robi długi, kazano mi raz uczynić zajęcie przez komornika ruchomości, gdyż ojciec, nibyto zagniewany, nie chciał już za syna płacić.

Zrobiła się cała komedja, lepsza niż w teatrze. Pan prezes zwymyślał mnie w kantorze przy wszystkich swoich współpracownikach, nazywając nędznym lichwiarzem i podłą pijawką, a ja wówczas zagroziłem procesem o obelgi.

On mnie kazał wyrzucić, i ja poszedłem zaraz do sądu, zyskałem tymczasowe zabezpieczenie, sprowadziłem komornika, a wszystkie ruchomości pana Fonsia zostały opisane i opieczętowane.

Mówiono o tem w całem mieście, żałując tego, chociaż lekkomyślnego, ale tak miłego, tak po szlachecku puszczającego pieniądze prezesowicza. Sam słyszałem, jak hrabia Kocio powiedział:

— Doprawdy, że ten Fonsio, lubo żyd z urodzenia, wart jest być szlachcicem.

Prezesowicz jeszcze bardziej był podrażniony, kiedy doszło do licytacji. Wprawdzie nic nie sprzedano, bo pan prezes dał się niby przebłagać i wszystko zapłacił, pod warunkiem przecie, że ureguluje długi syna po raz ostatni.

Cała ta komedja, z której później, ile razy zeszedłem się z panem Silberbleistiftem ojcem na zwykłą naszą potajemną konferencję, śmieliśmy się do rozpuku — uczyniła w eleganckim świecie ogromne wrażenie.

Pewna hrabianka, do której się prezesowicz zalecał, nie chciała go za męża, mówiąc, że żydem o milę trąci. Ale po tej komedji, akumka natychmiast oddała mu swą rękę, uważając go za bohatera.

Dziś pan prezesowicz ma duże dobra szlacheckie, urządza u siebie wyścigi końskie, wyprawia polowania, ale długów już nie robi. Stary Silberbleistift, ile razy mnie spotka, zawsze powiada:

— Ty panie Gukier byłeś swatem mego syna. Ta historja z komornikiem i licytacją zjednała Fonsiowi hrabiankę. Ach, jakie te akumki niemądre, jakie niemądre...

Ja panu prezesowi wcale nie myślałem zaprzeczać.

VI

Klienci gracze. — Hr. Strumykiewicz i Czaplicki.

W naszym fachu, jak w każdym innym, najlepiej popłaca, gdy się jest specjalistą. Są doktorzy od chorób wewnętrznych i zewnętrznych, oddzielni od oczu, gardła i nosa; są adwokaci od spraw cywilnych osobno i od kryminału osobno, dlaczegóżby i w wielkim handlu pieniędzy nie miały się wyrobić pewne specjalności? Nie gardziłem ja żadnym kljentem, nie odprawiałem nikogo kto przychodził z dostateczną ewikcją, ale powoli, potrochu wyrabiałem swoją specjalność, której celem było operować, jak już rzekłem, z kljentami z fanaberją.

Widocznie do takich trudnych operacyj miałem już wrodzony talent i szczególne uzdolnienienie, co się odrazu na Bonisławskim pokazało.

Muchy czy tam kljenci z fanaberją potrzebują pieniędzy na wiele rzeczy; ale szczególnie na dwie, to jest: na grę w karty i na kobiety. I ja lubię grać w karty, szczególnie w naszą żydowską grę, w oko, ale nigdy się nie zapalam, nigdy nie ryzykuję, chyba, że się trafi towarzystwo, które nie umie jeszcze dobrze grać i nie wie, że ja potrafię szczęściu dopomódz. To się przecie zdarza u nas bardzo rzadko, u akumów zaś muchy najlepiej lubią grać z takimi, którzy właśnie zawsze szczęściu własnemu dopomagają.

Poznałem ja wielu majstrów, wyciągających od moich kljentów duże nawet pieniądze w klubach, gdzie są nibyto sami myśliwi. Ale ci myśliwi nie polują ani na zające, ani na kuropatwy, ani na dzikie świ... tylko na muchy z fanaberją. Taka mucha kiedy przegra i chce się odgrywać, a nie ma pieniędzy, bardzo łatwo wpada w nasze sieci.

Pamiętam raz, śpię sobie w nocy snem sprawiedliwego po pracy całodziennej, aż tu Reginka budzi mnie, wołając:

— Aron, czy ty słyszysz, ktoś tak dzwoni, że mało dzwonka nie urwie.

— Niech sobie dzwoni — odpowiadam, ani myśląc opuścić ciepłych betów.

Kiedy jednak dzwonienie nie ustawało i zaczęło się po chwili wielkie łomotanie do drzwi, wyskoczyłem na równe nogi, myśląc, że się pali, albo inne jakieś stało się nieszczęście.

Dziadzio Cytwar, który z nami mieszkał, mając lekki sen, oddawna wstał, i już w przedpokoju z kimś przez drzwi rozmawiał.

— Otwórzcie, kiedy mówię, kto jestem — krzyczał ten ktoś za drzwiami.

— Noc dla sępów i kruków i puchaczy, a jasny dzień dla sprawiedliwych — tłumaczył uczenie rebe Benjamin, ani myśląc otworzyć.

— Ale ja muszę zaraz widzieć się z panem Gukrem, interes jest pilny i konieczny — brzmiał głos mocno podrażniony.

— Kto się chce ze mną widzieć o godzinie 3-ciej w nocy? — zapytałem także bez zamiaru otworzenia.

— A nareszcie, to pan Gukier — wykrzyknięto radośnie — jestem hrabia Strumykiewicz, potrzebuję się z panem rozmówić.

Raz jeden tylko miałem interes z hrabią Stanisławem Strumykiewiczem i dobrze na nim zarobiłem, a wiedząc, że to pan dużej fortuny a jeszcze większej fanaberji, nie mogłem go z niczem odprawić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

licząc na konieczność starania się nietylko o subwencję krajową, ale także o udział rządu w kosztach budowy kolei, uchwalił wypracowanie osobnego planu specjalnie dla użytku ck. ministerstwa i że wogóle wszystkie plany obowiązani są zawsze projektujący udzielić do wglądnięcia tej ck. władzy, która na trasę udziela zezwolenia t. j. ck. rządowi, a w szczególności ministerstwu kolejowemu.

Nieprawdą jest, ażebym w sprawie starań o prowadzenie kolei na Wołosate działał w sposób podstępny i to na niekorzyść powiatu turczańskiego i liskiego; prawdą jest natomiast, że będąc prezesem powiatu liskiego i pełnomocnikiem komitetu dla budowy kolei Ustrzyki Dolne-Wołosate z odnogą do Turki, prawem mem i obowiązkiem było i jest, starać się o to usilnie, by kolej przechodziła przez Wołosate a od niej odnoga do Turki tak, jak to wszyscy interesowani z obu powiatów wspólnie, zgodnie i jednogłośnie uchwalili i starań tych nie potrzebowałem i nie potrzebuję przed nikim ukrywać; prawdą jest dalej, że kolej idąc na Wołosate jest korzystną dla 23 000 ludności t. j. dla 34 gmin i obszarów dworskich, z których połowa leży w powiecie liskim a połowa w turczańskim i prawdą jest, że od tej linji wybudować się mająca odnoga do Turki była przez samych interesentów Turczańskich postanowiona jako korzystna dla powiatu turczańskiego, prawdą jest również, że budowa odnogi do Turki wtenczas dopiero może być zapewnioną, gdy ck. rząd zdecyduje kierunek linji głównej.

Nieprawdą jest, że kolej rządowa prowadzona na Wołosate niweczy plan pierwotny kolei z Ustrzyk Dolnych do Wołosatego i Turki; prawdą bowiem jest, że intencją komitetu było wogóle połączenie okolicy Lutowisk i Turki z siecią kolei zapomocą dowolnej linji idącej od kolei transwersalnej ku Węgrom i że dyskutowano punkt wyjścia tej linji albo z Ustrzyk albo z Sambora, a na Ustrzyki zgodzono się jedynie dla tego, że odległość tej stacji była najkrótsza.

Nieprawdą jest, by żądanie p. Osuchowskiego postawione do komitetu o zwrot pieniędzy danych na trasę było słuszne i bym ja posłowi Osuchowskiemu był obowiązany składać rachunki z wydatków komitetu; prawdą bowiem jest, że gdy interesenci wszyscy wspólnie uchwalili konieczność starania się o kolej i o wykonanie trasy i gdy za tę trasę t. j. plany i kosztorysy i inne wydatki na mocy uchwały komitetu złożone w Banku krajowym pieniądze jako słuszną należytość wypłacono, to żądanie zwrotu tych pieniędzy jest bezpodstawne i nie może być traktowane na serjo; prawdą również jest, że upoważniony i wybrany przez komitet kontrolorem rachunkowym p. Bronisław Mrazek rachunki przychodów t. j. wpłat składanych do Banku krajowego i rachunki wydatków komitetu dwa razy w odstępach czasu badał, i sprawdził, że do dnia 12 czerwca 1897 ja dołożyłem z mych własnych pieniędzy 917 zł. 23 ct., i że wydział powiatowy turczański winien jest do kasy komitetu wpłacić w myśl zobowiązania jeszcze 2000 zł. — sprawdził również imieniem komitetu p. B. Mrazek, że od dnia 12 czerwca 1897 nikt z interesowanych nic więcej do kasy komitetu nie wpłacił i że ja tymczasem ponoszę wszystkie dalsze wydatki ciągle z własnych funduszów.

Nieprawdą jest dalej, jakobym ja wniósł imieniem powiatu liskiego do sejmu na ręce posła Wiktora petycję zmyśloną, domagającą się kolei na Wołosate i przez to „nadużył zaufania“ posła Wiktora; prawdą jest bowiem, że każdy prezes rady powiatowej ma prawo i obowiązek starania się o dobro swego powiatu a tem więcej, gdy w tym wypadku wydział powiatowy liski upoważnił wyraźnie swe prezydjum przed wniesieniem tej petycji do poczynienia imieniem powiatu wszelkich kroków, wysłania wszelkich deputacyj i wnoszenia wszelkich petycyj, jakie będą potrzebne do urzeczywistnienia poprowadzenia kolei przez powiat liski t. j. na Wołosate.

Nieprawdą jest, jakobym ja, będąc marszałkiem powiatu, komunikację w moim majątku uważał za sprawę pierwszorzędną i jakobym tę komunikację na mą korzyść przeprowadzał; prawdą bowiem jest, że jeszcze w r. 1894, a zatem na długo przed objęciem przezemnie urzędu prezesa powiatu, poprzedni wydział powiatowy, do którego ja nie należałem, postanowił i rozpoczął rekonstrukcję drogi Lutowiska Cisna, przy której mój majątek Dwernik leży; prawdą jest, że jeszcze z wiosną roku 1895 ówczesny wydział pow. przysłał swego inżyniera do Dwernika i zarządził dla umożliwienia budowy mostu na Sanie przełożenie tejże drogi w Dwerniku; prawdą jest, że dopiero później tj. az z końcem 1896 roku zostałem wybrany prezesem rady pow. i w styczniu 1897 r. ten urząd objąłem; prawdą jest, że na drogę Lutowiska-Cisna i na most na Sanie liczni interesenci znaczne stosunkowo datki w gotówce i w materjale złożyli, prawdą jest, że wydział krajowy w uznaniu pierwszorzędnego znaczenia tej drogi i mostu na Sanie dla południowej połowy powiatu liskiego tj. dla 27 gmin o przeszło 18 tysiącach ludności, udzielił dotychczas (wyraźnie jedynie na tę komunikację) subwencję w sumie 8000 zł, a więc prawdą jest, że nie ja sam uważałem sprawę tej komunikacji za pierwszorzędną.

Nieprawdą jest, jakobym ja zbudował bardzo kosztowny most na Sanie i jakobym zapomniał zupełnie o innych komunikacjach w powiecie. Prawdą jest bowiem, że plan i kosztorys mostu na Sanie przedłożony przez powiat wydziałowi krajowemu, został ze strony wydziału krajowego zbadany i zatwierdzony i że w kosztach budowy tego mostu wykonanego we własnym zarządzie, wydział powiatowy przy zapobiegliwej gospodarce znaczne poczynił zaoszczędzenia tak, że koszt mostu jest znacznie niższy od kosztorysu; prawdą jest dalej, że wydział powiatowy liski zbudował prócz powyższego mostu za czasów mego urzędowania w całym powiecie wiele innych większych i mniejszych mostów murowanych i przepustów betonowych, a między tymi np. most w Hoczwi o 36 metrach rozpiętości na 4 ciosowych filarach i przyczółkach a to kosztem 7000 zł.; prawdą jest, że wydział pow. liski a wraz z nim i ja staram się i pamiętam o komunikacjach w całym powiecie, o ile tylko fundusze nasze starczyć mogą; prawdą jest, że wybudowano lub zrekonstruowano w ostatnich dwóch latach w całym powiecie wiele dróg, jak np. Olszanica-Wańkowa-Ropienka, Zawadka-Baudrów, Baligród-Stężnica-Radziejowa, Łukawica-Bezmichowa, Hoczew-Bereska, Tarnawa dolna-Kalnica ad Lisko itd. itd., a prócz tego prestacjami wykonuje się wiele robót w całym powiecie; prawdą jest, że przez te dwa lata, nie mając inżyniera powiatowego ja osobiście na miejscu temi wszystkiemi robotami kierowałem i wykonywałem je za pośrednictwem powiatowych drogomistrzów.

Nieprawdą jest, że o krzesło marszałkowskie się dobijałem i że przy mym wyborze połączyłem się z radnymi z mniejszych posiadłości; natomiast prawdą jest, że nikogo o głosowanie na mnie ani przy wyborach do rady, ani przy wyborze na marszałka nie prosiłem, a po mym legalnie dokonanym wyborze na marszałka pow. złożyłem ten mandat głośno i publicznie w ręce mych wyborców do ich swobodnej dyspozycji, wraz z wezwaniem o porozumienie i solidarne nowe głosowanie, prawdą jest, że przy drugiem ponownym legalnym wyborze znów zostałem wybrany większością głosów (podczas gdy reszta głosów się rozstrzeliła) prawdą jest, że po tym ponownym wyborze po raz drugi rezygnowałem i proponowałem wybór jednego z najpoważniejszych obywateli naszego powiatu, tj. p. Adama Zętarskiego, a gdy ten po kilkakrotnych mych przedstawieniach kategorycznie oświadczył, że urzędu marszałka spełniaćby nie mógł i mnie życzliwie do przyjęcia wyboru wraz z innymi kilkakrotnie zachęcał, wtenczas wybór przyjąłem.

W końcu oświadczam, że pomimo napaści na mą osobę i bezpodstawnych zarzutów zawartych w artykule „Wołosate czy Uzsok“ pozostanę zawsze konsekwentnie przy uchwalonej przez interesowanych obu powiatów zasadzie: „że główna linja kolei powinna pójść na Wołosate a odnoga do Turki“, a to tembardziej, że taka komunikacja kolejowa odpowiada nietylko interesom tych obu powiatów, ale także ogólnym interesom krajowym.

We Lwowie 14 lutego 1899.

Ludwik Ramult
prezes rady pow. Lisko.

Listy z kraju.

Żółkiew 14 lutego. *(Pożegnanie.)* Dnia 12 lutego żegnaliśmy skromną ucztą p. Wincentego Wiczkowskiego, koncepistę przy tutejszym starostwie, który opuszcza nasze miasteczko. Serdeczne pożegnanie było słabym tylko wyrazem ogólnej sympatji i poważania, które p. Wiczkowski podczas swego niedługiego pobytu u nas pozyskać sobie zdołał. Więc żegnamy go z żalem, gdyż w naszem życiu towarzyskiem ubytek tego sympatycznego towarzysza czyni nie małą lukę.

Mikuliczyn 12 lutego. *(Omal, że nie nieszczęście — Karnawał. — Nasze stosunki).* Nie wiele brakowało, a byłoby się dziś zdarzyło na przestrzeni kolejowej nieszczęście, co świadczy o ogromnej lekkomyślności i niedbałości władz wyższych, powołanych do czuwania nad bezpieczeństwem jadących koleją żelazną. Między Tatarowem a Mikuliczynem jest miejsce, gdzie góra położona tuż nad szynami nie jest niczem obwarowaną, tak że się usuwa i miejsze lub większe bryły skały usuwając się, na tor spadają. Już kilkanaście razy zdarzyło się, że pociąg zatrzymano i kamienie sprzątać musiał personal pociągu, a podróżni byli zmuszeni w nieopalanych wagonach podziwiać wspaniałą przyrodę. Przed kilku dniami pociąg aż się wstrząsł cały przejechawszy po kamieniu. Dziś zaś tylko nadzwyczajnej przytomności budnika zawdzięczyć należy, iż się obeszło bez katastrofy. Pociąg pędził szybko, budnik widząc spadające kamienie i zasypujące tor, podbiegł prawie pod maszynę, położył kapsle alarmowe, a maszynista na 2 metry przed niebezpiecznem miejscem był w stanie pociąg zatrzymać. Możemy sobie wyobrazić zdumienie podróżnych, gdy zobaczył kilka brył wielkości wozu na szynach, które pod tym ciężarem aż się powyginały. Tak podróżni, jak i personal kolejowy z wysiłkiem jęli uprzątywać tor, i pociąg z 2 godz. opóźnieniem zdążył do Mikuliczyna.

Nic bym nie mówił, gdyby to się po raz pierwszy zdarzyło, można by powiedzieć „*vis major*,“ ale gdy niebezpieczeństwo wisi codzień nad karkiem podróżnych jak miecz Damoklesa, gdy codzień 4 pociągi tędy przejeżdżają, a organa ku temu powołane nic nie robią, to już lekkomyślność nie do darowania. Budnik - chłop prosty odezwał się, że podziękuje za miejsce, albo każdy pociąg będzie zatrzymywał, bo czyż może upilnować tor? Kamień spada w sekundzie po kontroli i wszelka kontrola nadaremna. Dajmy na to, że ten fakt zdarzyłby się przed pociągiem wieczornym, przejeżdżającym tamtędy o g. 9½ w nocy wśród burzy z wichrem i ciemności egipskich, czyż zdołałby ten mężny budnik uratować pociąg? Mniej godni dostają krzyże zasługi od tego, który z narażeniem życia uratował życie jadących w tym pociągu.

Karnawał i u nas nie spał. Przed kilku dniami odbył się piknik na dochód budowy kaplicy w Mikuliczynie. Kilkanaście par tańczyło do białego dnia, z gościnnością staropolską przyjmowała mikuliczyńska inteligencja swych sąsiadów z Dory, Delatyna, Nadwórny i Worochty, a w wznoszonych toastach pito na zgodę i jedność życia towarzyskiego. Już to przyznać potrzeba, że życie towarzyskie w tych stronach bardzo przyjemne. Wszyscy w zgodzie i przyjaźni żyją ze sobą.

Radłów 14 lutego. *(Wszędzie żydzi.)* W gminie Radłów rozpisano licytację na pobór tak zwanego targowego na dzień 30 grudnia 1898. Do licytacji stanęli między innymi dwaj chrześcijanie Jan Dulian, gospodarz gruntowy i powroźnik Tumidajski. Ofiarowawszy najwyższą cenę, utrzymali się przy licytacji, a nadto zobowiązali się czynsz dzierżawny na rok 1899 przypadający, złożyć w całości w kasie gminnej. Poprzedni dzierżawca, Mortko Goldberg, przekonawszy się, że sprawa niekorzystny obrót bierze dla niego, wpłynął na miejscowego naczelnika gminy, p. Jana Maczyszyna, że zwlekał ze zwołaniem posiedzenia rady gminnej, na którem licytacja miała być zatwierdzona. W ten sposób dwa najkorzystniejsze jarmarki przeminęły, a licytanci Dulian i Tumidajski, widząc niemożność objęcia faktycznego poboru targowego, cofnąć byli zmuszeni swoje oferty. Wyrażamy zdziwienie, że władze autonomiczne powiatowe nie wkroczą w tego rodzaju gospodarkę gminną, Radłów krzywdzącą i wywołującą słuszne rozgoryczenie ludności.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski

Czwartek 16 lutego.

O godz. 6 wiecz. w sali ratuszowej posiedzenie rady miejskiej.

Teatr hr. Skarbka: „Mignon“, opera. Początek o godzinie 7 wieczorem.

Wiadomości osobiste. P. Kazimierz Ehrenberg, redaktor *Głosu Narodu*, bawi we Lwowie.

Kalendarz. Czwartek (16): Juljanny p. — Wschód słońca o godzinie 7 minut 13, zachód o godzinie 5 minut 16.

W sprawie restauracji Wawelu wyjeżdża w najbliższych dniach do Krakowa p. Wereszczyński, członek wydziału krajowego, celem dalszego prowadzenia rokowań z władzami wojskowemi co do budowy nowych budynków wojskowych dla pomieszczonych na Wawelu oddziałów wojskowych, mających ztamtąd ustąpić z chwilą rozpoczęcia restauracji.

Z sali sądowej. Maksa Erlcha, byłego właściciela sklepu krawieckiego przy ulicy Boimów, który właśnie stawał przed sądem przysięgłych pod zarzutem fałszywej „krydy“ na szkodę swych 32 wierzycieli spowodowanej, skazał trybunał po dwudniowej rozprawie na 14 dni aresztu, a to przy zastosowaniu okoliczności łagodzących, jak złe miejsce sklepu — zastój w interesach kupieckich i t. d. Oskarżony wyrok przyjął.

Samobójstwo. Wczoraj rano około godz. 9 odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru Jan Mikołajów. Samobójca był z zawodu czeladnikiem piekarskim i liczył lat 27. Jako miejsce samobójstwa obrał sobie lokal stowarzyszenia pomocników piekarskich, znajdujący się przy placu Bernardyńskim l. 15. Kula wymierzona w prawe ucho spowodowała śmierć natychmiastową, tak, iż przybyłe pogotowie stacji ratunkowej znalazło już śp. Mikołajowa bez życia. W kieszeni samobójcy znaleziono list, którym tenże usprawiedliwia swój krok niesnaskami rodzinnemi. Znajomi też nieboszczyka opowiadają, iż rzeczywiście tenże w ostatnich czasach miał wiele przykrych zajść z rodzicami, jako właściwy jednak powód samobójstwa podają brak zajęcia i przykre skutkiem tego stosunki finansowe. Zwłoki denata odstawiono do kostnicy miejskiej.

Okradziono sklep korzenny Samuela Aechta, znajdujący się przy placu Strzeleckim l. 6. Ostatniej właśnie nocy nieznani sprawcy włamali się, podważywszy storę żelazną wystawy, do sklepu i wynieśli stamtąd towarów na jakich 40 zł. Zabrali zaś głównie cały w sklepie zapas kawy.

Na „szwenderbalu“, bawiąc się wczoraj serdecznie Marjan Henrysz zarobnik, potknął się w tańcu i wywichnął nogę. Ze względu na tę przykrą okoliczność nie mógł dokończyć jak należy karnawału, tylko przyszedł z skwaszoną miną na stację ratunkową, gdzie mu zwichniętą nogę zaopatrzono.

Bal szopenowski, jak donoszą dzienniki warszawskie, był tam największym balem publicznym w tym karnawale, zarówno pod względem doboru towarzystwa, jak i znakomitego ucharakteryzowania kostjumowego. Oko widza z podziwem patrzało na postacie kobiece w strojach z lat 1830—1840, pełne finezji i wykwintu, oraz na charakterystyczne ufryzowanie i ubiory męskie z epoki Szopena. Wysokie do uszu kołnierze, okręcone dwa razy białemi chustkami, żaboty na piersiach, kolorowe fraki ze złotymi guzikami, obcisłe spodnie — wszystko to wywierało iluzję, że widz znalazł się nagle w doborowem towarzystwie z owej epoki, gdy Szopen grą czarował słuchaczy. Również ludzące wrażenie wywierały panie, wśród których niejedna przypominała piękną Elizę Radziwiłłównę ze słynnego obrazu Siemiradzkiego „Szopen u Radziwiłła“ lub Marylę Mickiewicza z dawnych sztychów. Złudzenie to zawdzięczać trzeba przedewszystkiem uczesaniu głowy i sukniom, lekko przepasanym tuż pod piersią i spadającym prosto ku ziemi. Świeżo ukończona sala towarzystwa łyżwiarskiego, trzymana w kolorach jasnych i szlachetnych, była doskonałem tłem dla tego wykwintego balu, który rozpoczął się polonezem, prowadzonym przez p. Karola Malczewskiego z Władysławową hr. Tyszkiewiczową. Pary defilowały przed dużem popiersiem Szopena (dzieło p. Wasilkowskiego), ustawionem na estradzie. Kontredans, w którym brało udział 140 par, przedstawiał wspaniały widok. Na tym sympatycznym balu zauważano znaczną liczbę przedstawicieli warszawskiego high-lifu. Obecne były: księżna Stefan. Lubomirska, księżna Maciejowa Radziwiłłowa, księżna Mieczysławowa Woroniecka, hr. Augustowa Potocka, hr. Janowa Lubieniecka, hr. Konstantowa Platerowa, hr. Kazimierzowa Morsztynowa, p. Włodzimierzowa Karsza i wiele innych. Bawiło się około 600 osób. Urządzenie balu było zasługą pierwszego inicjatora p. Karola Malczewskiego, którego stylowy strój był najpiękniejszym z pośród innych. W zabawie brali udział także obecni w Warszawie członkowie rodziny Szopena.

Hygiena palenia. Zdaniem profesora hygieny w Lipsku, dra Pawła Möbiusa, jest powszechne twierdzenie, że palenie wywołuje takie same lub podobne skutki, co alkoholizm, jest zupełnie nieuzasadnione. Z palenia nie powstaje ani osłabienie pamięci, nie szkodzi ono sile umysłowej i nie wywołuje, jak u alkoholistów, zamglenia oczu. W połączeniu z alkoholizmem może palenie przyczynić się do złych następstw. Jedynem złem jest przy paleniu nikotyna, ale i ta szkodzi tylko wtedy, gdy się pali za silne cygara nad miarę. Najwięcej szkodzą papierosy z powodu wciągania dymu w płuca, co powoduje w wielu wypadkach katar krtani. W ogóle jednak palenie wywołuje uspokajające skutki i wywiera nieraz korzystny wpływ na funkcje organizmu.

Losy Andréego. Nansen wezwał telegraficznie profesora Nathorsta, aby projektowaną ekspedycję na wschodnie wybrzeża Grenlandji przeprowadził jak najprędzej, ponieważ są widoki, iż Andréego można znaleść w tych niezbadanych okolicach między 70 a 76 stopniem szerokości. W dalszym ciągu donoszą ze Sztokholmu, iż podróżnik Stadling, który niedawno powrócił z Syberji, ogłasza następującą notatkę z dziennika podróży: „Ancyferowskaja 28 listopada 1898. Spotkałem zesłańca Hempla, który dnia 14 września 1897 widział jasny, okrągły przedmiot wielkości jabłka na północnym zachodzie przy napółzachmurzonem niebie przez pięć minut na wysokości kilkuset metrów. Pod kulą nie było żadnego innego przedmiotu, kula zaś była przeźroczysta i oświetlona z zewnątrz. Sąsiedzi jego widzieli to samo tego samego dnia. Hempel nie uważa tego zjawiska za balon.“

Omyłka pruska. Policja pruska aresztowała swego czasu w Metzu niejakiego Decocqa pod zarzutem szpiegostwa, a trybunał rzeszy skazał go „na podstawie dowodów“ na sześć lat więzienia. Jak się teraz pokazało, padł on ofiarą aresztowanego w Paryżu ajenta Deciona, który rysopis jego podał władzom pruskim i sygnalizował jego przybycie do Prus. Decocq nigdy nie był szpiegiem francuskim.

Dziw językowy. Pismo spirystyczne *Philosophical-Journal* opowiada następującą historję: Szwed, nazwiskiem Larson, który kiedyś pracował w doku nowojorskim, wrócił do ojczyzny i tutaj spotkało go nieszczęście, iż na głowę spadł mu blok; czaszka mu pękła, mózg w jednem miejscu, zwanem centrum mowy, został przedziurawiony odłamkami kości. Gdy kości te wyciągano, zniszczono także około dwóch uncyj mózgu. Gdy Larson przyszedł do siebie, nie mógł z początku wydobyć żadnego dźwięku. Gdy rana zaczęła się goić, zaczął wydawać jakieś nieartykułowane tony i teraz przychodzi dziw: — z tych nieartykułowanych tonów utworzył się język, zupełnie obcy lekarzom, a mianowicie płynny, wykształcony angielski. Najdziwniejszem jest to, że Szwed przed nieszczęściem na punkcie języka angielskiego był kompletnym osłem. Natomiast nieszczęśliwy zapomniał zupełnie swej mowy ojczystej. Gdy do niego mówili krewni, patrzył na nich, jak idjota. W całym świecie naukowym, powiada *Philosophical Journal*, wypadek ten wywołał ogromną sensację.

Córka pastora — morderczynią. Niezwykła zbrodnia zdarzyła się w wiosce Biddenden, w hrabstwie Kent, w Anglji. Powszechnie szanowany kupiec 38-letni John Whibley został zabity wystrzałem z rewolweru przez 40-letnią córkę pastora miss Bertę Peterson. Pomiędzy tym dwojgiem zachodziły poprzednio nieporozumienia; miss Peterson okazała się pierwsza skłonną do zgody i napisała do Whiblea, aby przybył na nabożeństwo, po którem nastąpi pojednanie. Córka pastora modliła się gorliwie, przystąpiła nawet do komunji; po nabożeństwie zaproponowała pastorowi Raven i p. Whibley, aby udali się z nią do miejscowej szkółki dla obejrzenia jakiegoś obrazu. W chwili gdy W. go oglądał, miss P. zaszła go z tyłu i wystrzeliła mu prosto w kark, kładąc go trupem na miejscu. Pastor, przerażony, wybiegł, wzywając konstabla. Aresztowano natychmiast morderczynię, która nie stawiała wcale oporu i nie chciała udzielić żadnych objaśnień.

Ludność na kuli ziemskiej. Francuskie czasopismo *Science pour touts* podaje następujące dane co do ludności kuli ziemskiej: Ogólna liczba ludzi na ziemi dosięga 1,200,000.000. Liczba mężczyzn równa się liczbie kobiet. Ludzie ci mówią 3.064 językami i wyznają 1.000 religij. Corocznie umiera osób 35,214 000, czyli 98.848 dziennie, 4.020 na godzinę i 67 na minutę. Średnio wiek ludzi nie przekracza 38 lat. Prawie 25% umiera przed końcem 17 r. życia. Ze stu osób obojej płci, jedna tylko dożywa 100 lat, a sześć lub siedm — 60. Liczba urodzin wynosi rocznie 36,792 000, t. j. na dzień 100.800, na godzinę 4 200, na minutę 70. Liczba więc ludzi na ziemi powoli lecz stale się powiększa. Ludzie żonaci dłużej żyją od nieżonatych, pracujący od bezczynnych, a średni wiek ludności w społeczeństwach oświeconych jest wyższy, niż u narodów z niską cywilizacją.

Królowa Wiktorja od pewnego czasu używa laski. Ma się rozumieć, wzbudziło to naśladownictwo wśród dam arystokracji i żon oficerów. Obecnie co kilka kroków na ulicach Londynu spotyka się panie młode i zdrowe, chodzące o kiju, jak staruszki. Weszły też w użycie parasole w kształcie lasek. Tę modę wprowadziła księżna Walji.

Mianowania. Prezydjum krajowej dyrekcji skarbu zamianowało rewidentami rachunkowymi w IX klasie rangi oficjałów rachunkowych: Kazimierza Jaśkiewicza, Artura Borysiewicza, Władysława Hischtina, Stanisława Beneszka, Edwarda Neussera i Włodzimierza Sztogryna; oficjałami rachunkowymi w X. klasie rangi asystentów rachunkowych: Włodzimierza Kulczyckiego, Antoniego Haussera, Tytusa Mukaczyńskieg, Jarosława Lewickiego, Eugenjusza Iwasieczkę, Cyryla Świderskiego i Antoniego Wileckiego; asystentami rachunkowymi w XI. klasie rangi praktykantów rachunkowych: Marcelego Fuksiewicza, Wojciecha Szczepańskiego, Kazimierza Kochmańskiego, Marjana Macielińskiego, Marjana Tyszkowskiego, Józefa Łysogórskiego i Władysława Tabora.

Fatalny wypadek na ślizgawce. Z Chicago telegrafują: Wczoraj załamało się 16 łyżwiarzy, ślizgających się na jeziorze Michigan. Dziesięciu zdołano uratować, sześciu zaś mimo bezzwłocznych poszukiwań nie zdołano odszukać. Znaleźli śmierć w nurtach jeziora.

Kradzież materjałów budowlanych. Abrahamowi Engelhardtowi, zarządcy budowy u Sary Sprecher przy ul. Słodowej l. 3, skradziono różny materjał budowlany łącznej wartości 600 zł. Znaleziono go schowany u Antoniego Piwonki przy ul. Leśnej l. 4, który jednakowoż zeznał, iż ów materjał zakupił od nieznanego mu człowieka. Wobec tego policja śledzi sprawcę kradzieży.

Amatora gałek mosiężnych, Grzegorza Małkiewicza, włóczęgę bez zajęcia, przyaresztowano za to, iż wczoraj poodkręcał od drzwi teatru hr. Skarbka gałki mosiężne, aby je zabrać i sprzedać. Schwytany *in flagranti* tłumaczył się, iż go tutaj przysłał jego majster. Ponieważ ten majster istniał na księżycu, więc Małkiewicza osadzono w areszcie.

Proces o miejsce w coupé. Sędzia pokoju VIII okręgu Paryża wydał wyrok, który będzie ważnym precedensem w stosunkach kolejowych: Jeden z pasażerów, jeżdżących stale z Wersalu do Paryża i z powrotem, wytoczył kolei Zachodniej proces o to, że w jej pociągach niedzielnych nigdy niema miejsca. Sąd uznał, że kupno biletu na przejazd iest prawnym kontraktem między koleją a pasażerem, który pociąga za sobą ze stron obu pewne zobowiązania i że wskutek tego kolej, którą prawo z r. 1839 zobowiązuje do puszczania w ruch dostatecznej liczby wagonów, nie ma prawa ani wpychać do przedziałów większej liczby pasażerów, niż regulamin przepisuje, ani pasażerów z biletami do klas niższych, wsadzać w braku miejsca do klas wyższych, gdyż to zmniejsza wygody pasażerów klas wyższych.

Librecista operetkowy przed sądem. James Davis, znany więcej pod nazwiskiem Owen Hall, stawał tymi dniami w londyńskim trybunale, jako niewypłacalny dłużnik. P. James Davis napisał libretto operetki „Gejsza“, która śpiewaną była prawie we wszystkich stolicach Europy. Odpowiedzi dowcipnego librecisty podczas rozprawy pobudzały audytorjum do nieustannej wesołości. Na zapytanie sędziego: „Jesteś pan owym p. James Davis, który napisał utwór, doznający stałego powodzenia?“

— Odpowiedział tenże: „Należy przypuszczać, iż nie, gdyż w takim razie nie znajdowałbym się tutaj“.

— Prawda, ale pańskie niepowodzenia nie mają nic wspólnego z teatrem. Wydawałeś pan przeszło 125.000 franków rocznie...

— W istocie, udawało mi się to w ciągu kilku lat.

— Od miesiąca marca 1897 roku przegrałeś pan na polu wyścigowem 200.000 franków.

— Jest to zupełnie dokładny szczegół.

— Nabyłeś pan nawet konia wyściowego.

— Przepraszam, miał to być koń wyścigowy, ale po jednym jego biegu publiczność mię wygwizdała: zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu. Zresztą nie zapłaciłem nic za tego konia.

W końcu rozprawy okazało się, iż James Davis zebrał w przeciągu dwóch lat 375.000 franków honorarjów autorskich, lecz wydał o 50 000 franków więcej.

Składki na cele użyteczności publiczne lub narodowe.

Na przytulisko Brata Alberta, złożyła w naszej administracji p. Zosia Boziewiczówna 1 koronę.

Na zupę rumfordzką złożono w handlu I. Drexlera i Synów plac Kapitulny l. 2. T. H. 5 zł. Czuczawa 5 zł. E. Gaberle, radca poczt 1 zł. 50 ct. Hrabia Cetner 10 zł. E. Szawłowska z Przewłoki 2 zł. W. de Firéchamps 2 zł. Trzeniec z Mościsk 5 zł. K. T. 10 zł. Józefa T. 10 zł. J. M. 2 zł. K. W. z Dobrzan 20 zł.

Rozdano od 7 lutego 1899 do 18 lutego 1899 roku, 1400 porcyj zupy, 1400 porcyj chleba. W tym samym czasie kosztem magistratu wydano 1400 porcyj zupy, 1400 porcyj chleba.

Na pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie złożono: Z listy p. J. Leszczyńskiego: A. Łoniecki 1 zł., J. Karłowicz, A. Zathey, Z. Laider, S. Mravincies, Z. Gargas po 50 ct., czytelnia akad. połowę dochodu z wieczorku 15 zł. Stobiecki 50 ct., F. Kowalski 10 ct., Birkenmaier 30 ct., Kuntze 20 ct., Czerwiński 50 ct., Kaliniewicz, Dembowski po 10 ct., Strojek 30 ct. Olszewski 5 ct., Rufler 10 ct., Staff 15 ct., Zielonka 30 ct., D. 10 ct., E. M. K. 5 ct., Odz. 5 ct., Odrzywolski, Nowik, Orzechowski po 10 ct., Kot. 40 ct., S. Zabielski 6 ct., B. Łukasiewicz 20 ct., Ł. Bańkowski, Maszkowski po 50 ct., K. Kloss 10 ct., A. Sońko 5 ct., Miksiewicz 50 ct., Zołwarnicki 20 ct., Gerstman, 39 ct., dr Próchnicki, dr. Krise, Lewandowski, Aisthesiometer po 10 ct., Sołtys 25 ct., M. Reiter, Wróblewski, Sobolewski, Liszniewski, J. pp., Angielski, Misiewicz, Jarecki, Schenk po 10 ct., Born 20 ct., T. Muszyński 15 ct., Torchalski 15 ct., Hartleb, Hiolski po 20 ct. Razem 27 zł. 66 ct. Zebrani w „Kółku Mickiewiczowskiem“ zamiast powinszowań noworocznych 8 zł. Razem 1080 zł. 76 ct.

Razem do dnia 27 grudnia złożono 11.648 zł. 82 ct. i list zast. 4% na 1000 zł.

J. K. Zieliński
skarbnik komitetu, Lwów bank kred.

Zmarli:

Ks. Aleksy Toroński, były katecheta gimnazjalny, członek rady szkolnej krajowej, radca konsystorjalny, prezes Tow. asekuracyjnego „Dniestr“, wiceprezes Tow. „Proświty“, zmarł we Lwowie w 61 roku życia na apopleksję. Zmarły był kolegą ś. p. kardynała Sembratowicza i jego gorącym przyjacielem. Cześć pamięci zacnego i zasłużonego Rusina!

Adolf Sachanek, emeryt. radca rachunkowy namiestnictwa, kawaler orderu Franciszka Józefa, zmarł we Lwowie w 80 r. życia.

Jan Kwiatkowski, inżynier-adjunkt dyrekcji poczt i telegrafów, zmarł we Lwowie w 32 r. życia. Pogrzeb odbędzie się dziś o godzinie 4 popołudniu z domu żałoby przy ulicy Gródeckiej l. 52.

Dr. Leon Dziorobek, adwokat w Szremie, poseł do sejmu pruskiego, zmarł nagle na paraliż sercowy po influenzy.

Kasa oszczędności.

Lwów 15 lutego.

Wczoraj w pałacu namiestnikowskim odbyła się długa narada, w której wzięli udział: namiestnik hr. Piniński, marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni, radca dworu Jaegermann, dr. Tadeusz Skałkowski, dr. Alfred Zgórski i dr. Paweł Dąbrowski. Rezultat tych obrad przedstawiony będzie na pierwszem posiedzeniu sejmu, a wnioski, jakie będą sejmowi przedłożone, od razu uspokoją opinję publiczną, gdyż każdy będzie się mógł przekonać, iż byt kasy będzie zabezpieczony, a właściciele wkładek nie stracą ani centa ani w kapitale, ani w procentach. Wszelkie więc rozszerzane przez agitatorów żydowskich plotki są zupełnie bezpodstawne.

Fikalscy.

Fikalscy nie zawsze odznaczają się taktem. Skończył się karnawał i należy im to powiedzieć, aby sens moralny z tego wyciągnąwszy, poprawili się na następny sezon tańcujący. Znany ten i rozgłośny rodzaj ludzi spełnia w społeczeństwie ważną „misję“ — i tego nikt mu nie odważy się zaprzeczyć. Wprawdzie są tacy złośliwi, którzy utrzymują, że u fikalskich nogi rozwijają się nadmiernie kosztem głowy, a nawet powołują się pod tym względem na znane prawo przyrodnicze, które stwierdza, że, jeżeli jakaś część organizmu rozwija się w sposób niezwykły, zawsze dzieje się to ze szkodą dla reszty, jednakże trzeba być sprawiedliwym i oddać, co komu należy. Cóżby bowiem zrobiły nasze dobroczynne komitety balowe bez pomocy tych lotnych postaci, zawsze przyjemnych, zawsze wesołych i zawsze gotowych tańczyć tam, gdzie chodzi o otarcie łez wdów i sierot? To są dobre strony fikalskich i przed temi bijemy czołem. Lecz ponieważ, jak mówi ruskie przysłowie: „Kożdaja ricz maje swoju szatenzajtu“, więc dlaczegożby fikalscy mieli być wyjątkiem z reguły i świecić niepokalaną śnieżystością postępowania? Postarali się oni właśnie w tym sezonie karnawałowym, ażeby obok blasków były i cienie. Oto jak się rzecz dzieje. Klub *.*. wydaje bal i znajduje się właśnie w gorączce przygotowań. Członek tego klubu pan Iks, korzystając z wyraźnie przysługującego mu prawa, pragnie ułatwić bytność na owym balu swoim znajomym, państwu Ygrek i w tym celu składa w ich imieniu należytość za wstępy i wpisuje ich nazwiska. Dotąd wszystko w porządku. Ale teraz fikalscy obejmują pierwsze skrzypce i pokazują, co potrafią. Należą oni naturalnie do „komitetu“ lub też przynajmniej „wiszą“ przy nim, spełniając wiele ważnych funkcyj. Między innymi wydział klubu *.*. polecił im nieograniczoną władzę nad zaproszeniami i oto fikalscy, dostawszy do rąk listę osób zgłoszonych przez członków, zastanawiają się: komu dać, a komu nie dać? I zdarzyło się w ubiegłym sezonie karnawałowym, że temu lub owemu z fikalskich niepodobała się jakaś zupełnie poważna rodzina i na tej podstawie zwrócono jej pieniądze, odmawiając prawa nabycia biletów. Naturalnie, że mimo całego szacunku dla talentu fikalskich, takie ich postępowanie musimy nazwać wprost ordynarnem. Proceder ten, pozwalający nieraz lada młokosowi zrobić afront najporządniejszej rodzinie bez żadnego podania przyczyn, powinien ustać. Byłoby więc wskazanem, aby na przyszłość o tem, kto zasługuje być na balu, lub nie, decydowały wydziały klubów, które zresztą same mają interes w tem, ażeby ich dobrej opinji nie podkopywano.

Artysta i tantjema.

Tworzenie dzieł sztuki jest u nas dotychczas zbytkiem, na który tylko ludzie zamożni pozwolić sobie mogą. Zdawałoby się, że minęły czasy, gdy Moniuszko brał za „Halkę" 250 rs. i to dzięki swym wyjątkowym stosunkom w teatrze, jako pierwszy kapelmistrz. Do dziś dnia nie zmieniło się nic prawie. Kompozytorowie muzyczni są dziś tak samo, jak dawniej, bezbronni wobec — łapczywości, z którą koncertanci i impresarjowie obchodzą się z cudzą własnością. Dotychczas tylko we Francji i w Anglji zaprowadzono pod tym względem jakiś porządek W Niemczech w roku ubiegłym utworzył się „Związek kompozytorów", który miał za zadanie zapewnienie twórcom tantjemy za utwory, wykonywane na koncertach publicznych. Dziś, po roku istnienia owej tantjemy, Henryk Zöllner w jednem z pism fachowych zdaje sprawę z działalności młodej instytucji. Między innemi zamieszcza następującą rozmowę z jednym z najpopularniejszych współczesnych pieśniarzy niemieckich.

Rzecz dzieje się w kawiarni. Kompozytor siedzi przy butelce wina. Wchodzi interwiew'er.

Interview'er: A! mistrz tu! Bardzo szczęśliwie się składa, bo właśnie szukałem pana

Kompozytor: Proszę, proszę...

— Jesteś pan dziś jakoś zamyślony. Co się stało?

— Obchodzę dziś wielką dla mnie uroczystość. Dziś odebrałem moją pierwszą tantjemę koncertową.

— A! winszuję! Powodzenie kompozycyj pańskich w ostatnich czasach było zdumiewające. Tantjema prawdopodobnie jest wysoka.

— A tak. Grano mnie w 85 miastach w jednym sezonie.

— Przy nowym systemie tantjemy musiało to panu przynieść sumę poważną?

— Tak? Ileż mi to przyniosło?

— Nie wiem, nie znam się na tem. Sądzę jednak, że kilka, a przynajmniej parę tysięcy marek.

— Zaraz panu obliczę. Grano moją kompozycję w 35 miastach. *Opus* na chór i orkiestrę trwa pół godziny, zajmuje tedy $^1/_4$ część wieczoru. Tantjema z całego koncertu wynosi 1%.

— Tylko?

— Tylko. W tych 85 koncertach było 17 koncertów prywatnych, które nic nie płacą. Pozostaje zatem?

— Ośmnaście koncertów.

— Tak jest Z tych 18 było 9 na cele dobroczynne, od których tantjemy brać nie wypada. Pozostaje jeszcze dziewięć. Dochód średni z tych dziewięciu koncertów wynosi po opłaceniu kosztów 600 marek, czyli 9×600=5400 marek. Od tego 1% daje 54 marki, z czego na mnie przypada za $^1/_4$ wieczoru 13 marek 40 fenigów. Tą ostatnią sumą ma się podzielić nas dwóch: nakładca mój i ja.

— Na każdego przeto wypada po 6 marek 75 fenigów?

— Tak. Rachujesz pan jak sam wynalazca arytmetyki. Z tego jednak $^1/_3$ odchodzi na rzecz kontrolerów, którzy w każdem mieście pilnują, aby się kompozytorom krzywda nie stała. Tantjema zatem od kompozycji wykonywanej w 35 miastach w ciągu całego miesiąca wynosi dla mnie 4 marki 50 fenigów. Czy można z tego żyć?

— Hm... trudno chyba...

— I ja jestem tego zdania. Kelner, co się należy za butelkę wina?

— Cztery marki.

— Proszę cię, mój przyjacielu: oto 4 marki należności i 50 fenigów napiwku. Czy wiesz, co popełnił w tej chwili kompozytor, który do ciebie mówi?

— Nie.

— Postąpił sobie niesłychanie lekkomyślnie: w ciągu pół godziny przepił całą tantjemę, odebraną za jedną z najpopularniejszych kompozycyj niemieckich, cieszącą się nadzwyczajnem powodzeniem w ciągu sezonu.

Tyle żart niemiecki.

A u nas?

Czy znajdzie się u nas kompozytor, któryby mógł pochwalić się choćby tak wysoką tantjemą?

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś we czwartek „Mignon", opera w 4 aktach A. Thomasa; jutro w piątek po raz drugi „Kontroler wagonów sypjalnych", komedja w 3 aktach Al. Bissona; w sobotę popołudniu o godzinie pół do 4 „Grube ryby", komedja w 3 aktach Michała Bałuckiego; wieczorem o godzinie pół do 8 „Lohengrin", opera; w niedzielę popołudniu o godzinie pół do 4 „Tamten", sztuka.

Listę kandydatów do rady miejskiej ogłasza w ostatnim numerze *Śmigus*, polecając ją zastanowieniu się wyborców jako swój własny produkt. Nie chcąc wpływać w tych ciężkich czasach, w których niewiadomo już, komu wierzyć na sumienia szanownych obywateli wyborców, ograniczamy się do stwierdzenia faktu, że lista *Śmigusa* jest rzeczywiście na wskróś swojską. Nie ma ani jednego Francuza, Anglika, lub innego jakiego odszczepieńca, tylko sami „nasi". Gdyby nie to, że wyliczenie stu nazwisk, w dodatku z wymienieniem zawodów, zabrałoby dużo miejsca, przedrukowalibyśmy ją całą z gustem, aby bodaj w ten sposób przysłużyć się dobrej sprawie. Bo posłuchajcie tylko, czy to nie jest rozczulająco nasze: Byk, Bloch, Bass, Bombach, Chamajdes, Diamand, Floh, Fensterschitz, Frauenduft, Feitcles, Gansleber, Geduldiger, Grünszpan, Himmelblau, Hirsch, Hulles, Jajteles, Katz, Kaczkes, Kiczales, Krach, Korkes, Kümmel, Kikenis, Menkes, Mendelsohn, Mayerbeer, Magenbitter, Myszures, i t. d. i t. d. Kogoby raziło może trochę niepolskie brzmienie tych nazwisk, ten pocieszy się z pewnością prędko, widząc obok nich tyle słowiańskich Stanisławów, Włodzimierzów Witoldów i t. d. Wyborami zajmuje się *Śmigus* i w innych artykułach, ale już całkiem wesoło Z przedwyborczych rozmyślań p. Pafnucego dowiadujemy się, że sławny obywatel Sysak z Bajek, przetłomaczył sobie okolicznościowo przysłowie *spiritus flat ubi vult* na „Szpyrytus i flak Kubie wtul". Karnawał znalazł także swoje miejsce w *Śmigusie*. Są pyszne „Zwierzenia emerytowanego klaka karnawałowego" (tylko dla starszych), są aforyzmy, wiersze, ilustracje, a nawet galop Fuchsa „Precz ze stemplem" — reminiscencja z balu prasy. Dla inteligencji izraelickiej, o której *Śmigus* zawsze pamięta, jest wyborny, pełen dowcipu poemat Przyjaciela, „Byk trefniak, czyli kolacja na dwa kierunki", dla amatorów muzyki list p. Gerwazego Tabasiewicza o sezonie operowym we Lwowie. Mimo takiego bogactwa materjału *Smigus* chętnie pozwala w swoich łamach debjutować młodym siłom, o czem świadczy „nowela historyczna" napisana przez Maniusię W... uczenicę VI klasy pod tytułem „Niespodzianka". Rozrzewniająco naiwna.

P. Robert Posselt, Lwowianin, mieszkający od kilku lat w Paryżu, gdzie zajmuje posadę profesora gry na skrzypcacach przy *Académie internationale de musique à Paris*, koncertował niedawno w Wiedniu ze znacznem powodzeniem. Dzienniki podnoszą piękny, ciepły ton, wyborną technikę i niepospolitą inteligencję muzyczną naszego rodaka. Jak słyszymy, zamierza p. Posselt wystąpić w niezbyt odległym czasie z własnym koncertem we Lwowie.

Dr. Piotr Bieńkowski, profesor archeologji klasycznej w uniwersytecie Jagiellońskim, ogłosił w czasopiśmie naukowem *Jahresschriften des Oesterreichischem archelologischen Institutes* (tom I z r. 1898) rzecz p. t.: *Zwei Sculpturen der Praxitelischen Schule.* W wydanem zaś na uczczenie działalności znakomitego archeologa radcy dworu Benndorfa w Wiedniu, pamiętniku, znajdujemy tego autora rzecz p. t.: *Ueber eine Status Polyktetischen Stiles.* Obie prace dr. Bieńkowskiego ozdobione są wykonanemi ślicznie fotograwurami starożytnych rzeźb, o których we wspomnianych artykułach jest mowa.

Władysław Żeleński powrócił świeżo z wycieczki do Pragi czeskiej, gdzie porozumiewał się z dyrektorem teatru czeskiego co do wystawienia „Goplany". Termin oznaczono na drugą połowę maja. Kirkorem będzie Florjański.

Z izby sądowej

Kraków 15 lutego.

(Oszustwo).

Dzisiaj rano przed trybunałem przysięgłych pod przewodnictwem radcy Katyńskiego odbywa się rozprawa przeciw Józefowi Sulnickiemu, właścicielowi dóbr w powiecie miechowskim w Królestwie, oskarżonemu o zbrodnię oszustwa i sprzeniewierzenia. Sulnicki, zajeżdżając w Krakowie do Grand-Hotelu podawał się jako plenipotent hr. Raczyńskiego, właściciela dóbr Dębica i jako taki wyłudził tytułem kaucji 600 zł. od niejakiego Marjana Iwelskiego, obiecując mu posadę kasjera i sekretarza w zarządzie dóbr Dębica.

Pieniędzy tych oskarżony użył na własne potrzeby. Iwelski udał się do Dębicy, aby objąć kontraktem zapewniony mu obowiązek i tu dopiero dowiedział się, że padł ofiarą oszustwa. Z Krakowa Sulnicki udał się do Lwowa, podając się za zamożnego obywatela z Królestwa. We Lwowie usiłował wkręcić się w koła dziennikarskie pod nazwiskiem Starskiego, a gdy to mu się nie udało, przyjął posadę w domu komisowym Karola Tuszyńskiego i tu dopuścił się defraudacji, jakoteż i w Nagawczynie, w zarządzie dóbr skarbu dębickiego, gdzie przez jakiś czas był na posadzie.

Przy przesłuchaniu dzisiaj Sulnicki oświadczył, że obecnie szczerą prawdę wyzna. A te zeznania dzisiejsze są odmienne od złożonych w śledztwie. Obwiniony przyznał się do przypisawanych mu zbrodni. Podczas jego przesłuchania odczytano doniesienie policyjne o sfałszowaniu weksli przez Sulnickiego w Królestwe, skąd tenże z powodu tego właśnie zbiegł.

Na zapytanie adwokata dr. Szalaya oświadczył oskarżony, że właściwie nazywa się Józef Ostoja Starski-Sulnicki i że w Krakowie stawał zawsze w Grand Hotelu pod tem nazwiskiem. Obecnie spodziewa się on 20.000—30.000 rubli, które ze spadku spaść mają na żonę jego. Nigdy weksli nie fałszował. Dr. Szalay zażądał przesłuchania, jako świadka, dyr. policji dr. Korotkiewicza.

Na to odparł prokurator p. Piotrowski, że faktem jest sfałszowanie przez Sulnickiego weksli i że władze w Królestwie żądają wydania Sulnickiego. Następnie przystąpiono do przesłuchania jako świadków poszkodowanych, a to Iwelskiego i Tuszyńskiego.

Wiadomości giełdowe.

Wiedeń 14 lutego.

(fr.) Akcje trzech banków tutejszych, tj. Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu, Zakładu kredytowego ziemskiego (Bodenkreditanstalt) i Bankvereinu były dziś przedmiotem wielkich transakcyj na giełdzie i podniosły się w kursie o 3 do 5 zł. Mówiono bowiem, że te trzy banki wspólnymi funduszami zamierzają przeprowadzić wielką operację przemiany w towarzystwo akcyjne wiedeńskiej firmy elektrycznej Siemens & Halske, która, jak wiadomo, budować będzie nowe linje tramwajowe w Wiedniu. — Walory górnicze zaczynają opadać. Kurs praskich akcyj żelaznych obniżył się dziś o 13 zł. na 11·32, alpinów o 3 zł. 40 ct. na 235·25, Rima-Murany o 4 zł. na 323, huty Poldi o 5 zł. na 320. Jest to zapewne dopiero preludjum do dalszego gwałtowniejszego spadku. Publiczność zasobna, posiadająca kapitały, lokuje obecnie chętnie swe kapitały w rentach. Podniosły się dziś wspólna renta majowa i obie złote. Węgierska renta mniej ma zwolenników od austrjackiej i jest od niej o 3 zł. tańszą, jakkolwiek przynosi taki sam procent, tj. 4%. Ale publiczność wiedeńska większe ma zaufanie do austrjackiej renty i płaci za nią chętnie 101·85, podczas gdy węgierską dostać może za 97·75—97·85. Jedna tylko kategorja rent nie może zyskać popularności na targu, tj. $3^1/_2$%-wa renta inwestycyjna. Wprost nikt nie chce jej kupować i prawdopodobnie będzie rząd musiał zarzucić ten typ renty państwowej. Kurs jej dzisiejszy wynosi 89·70

Gospodarstwo przemysł i handel

Kraków 14 lutego. Płacono pszenicę: białą od 9·10 do 9·55, czerwoną 9·10 do 9·70 zł.; żółtą 9·10 do 9·65 zł.; żyto 8·05 do 8·55 zł.; jęczmień browarny 6·75 do 7·50 zł.; na krupy 6·25 do 6·50 zł.; owies 6·30 do 6·60 zł.; rzepak —·— do —·— zł.; koniczyna czerwony 50·— do 60·— zł.; biały 46·— do 55·— zł. kukurudza od —·— do —·— zł. Wszystko za 100 kilogr.

— **Wiedeń** 15 lutego. *(Giełda zbożowa.)* Na targu efektywnym sprzedano kilka partyj pszenicy 76 kilogramowej po zł. 9·65 loco Wiedeń. W spekulacji terminowej notowano: pszenica na wiosnę zł. 9·57, żyto na wiosnę zł. 8·08. Reszta niezmieniona.

— **Wiedeń** 15 lutego. *(Spirytus.)* Wczoraj sprzedano 100 hkl. spirytusu po zł. 18·10.

— **Wiedeń** 15 lutego. Spirytus od zł. 18 do 18·10. Nafta galicyjska bez zmiany. Cukier od zł. 12·30—12·35.

— **Wiedeń** 15 lutego. *(Giełda zbożowa.)* Pszenica na wiosnę od zł. 9·55—9·56; na maj-czerwiec od zł. 9·24 do 9·25; żyto na wiosnę od zł. 8·03—8·04; kukurudza na maj-czerwiec od zł. 4·99—5·—; owies na wiosnę od zł. 6·08—6·09; rzepak od zł. 12·25—12·35; olej rzepakowy na styczeń i kwiecień od zł. 33—34. Tendencja słabsza.

— **Budapeszt** 15 lutego. *(Giełda zbożowa).* Pszenica na marzec od zł. 9·64—9·66, na kwiecień od zł. 9·43—9·44; na październik od zł. 8·54 do zł. 8·55, żyto na marzec od zł. 7·81 do 7·83; kukurudza na maj od zł. 4·70—4·71; owies na marzec od zł. 5·79—5·81; rzepak na sierpień od zł. 12·10—12·20 Popyt na pszenicę słaby. Tendencja słaba.

Kwestja polska w sejmie pruskim.

(Telegr. „Dziennika Polsk.")

Berlin 15 lutego.

Sejm pruski obradował w dalszym ciągu nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych.

P. Porsch, z centrum, wyraził zadowolenie z powodu wczorajszej mowy ministra skarbu Miquela który powiedział, że język polski rządu wcale nie żenuje.

P. Czarliński oświadcza: Nie żądamy wcale, aby rząd zrzekał się prowincyj polskich, domagamy się tylko, aby spełniał przyjęte obowiązki, ale rząd tego nie czyni.

P. Zedlitz, wolnokonserwatywny, spodziewa się, że rząd postępować będzie wobec Polaków nadal z tą samą energją, co dotąd.

Minister spraw wewnętrznych v. d. Recke twierdzi, że nie widzi potrzeby rozwodzić się nad polityką rządu wobec Polaków. Panowie z Koła polskiego znają bardzo dobrze zamiary rządu, a ja mogę im tylko zalecić, aby się zachowali stosownie do tych zamiarów.

P. Limburg-Stirum, konserwatysta, z zadowoleniem stwierdza, że obecna polityka rządowa wobec Polaków jest energiczna i świadoma celu.

Nakoniec p. Staudy, konserwatysta, omawia bojkotowanie rozmaitych firm niemieckich przez Polaków i twierdzi, że Polacy zamiast oskarżać Niemców i rząd, powinni raczej sami uderzyć się w piersi.

Z Sejmu

Kancelarja sejmowa rozesłała już porządek dzienny 4 posiedzenia, 4 sesji. VII perjodu sejmu galicyjskiego, które, jak wiadomo, odbędzie się w poniedziałek dnia 20 b. m. Na porządku dziennym między innemi są następujące sprawy: pierwsze czytanie sprawozdania wydziału krajowego o stanie fundacji skarbkowskiej w roku 1898; pierwsze czytanie wniosku p. Zolla o przekształcenie szkoły sztuk pięknych w Krakowie na akademję sztuk pięknych; pierwsze czytanie wniosku p. Barwińskiego o założenie we Lwowie wydziałowej szkoły żeńskiej z ruskim językiem wykładowym; pierwsze czytanie wniosku p. Jabłońskiego o utworzenie w Rzeszowie seminarjum nauczycielskiego żeńskiego; pierwsze czytanie wniosku p. Średniawskiego o podwyższenie wynagrodzenia za podwody, dostarczane przez gminy na żądanie władz wojskowych. Dalej są na porządku dziennym sprawozdania wydziału krajowego: o petycjach, o wydzielenie gmin, o uzupełniających wyborach posła na sejm z m. Białej, z gmin wiejskich powiatu nowotarskiego i z większych posiadłości obwodu tarnowskiego i rzeszowskiego i o zezwoleniach na pobieranie opłat mytniczych.

Depesze telegraficzne i telefoniczne „Dziennika Polskiego".

Komisja parlamentarna Koła polskiego.

Wiedeń 15 lutego. Komisja parlamentarna Koła polskiego odbywa bezustannie posiedzenia. Wprawdzie dwóch członków, a mianowicie pp. Madeyskiego i Piętaka chwilowo nie ma w Wiedniu, mimo to komisja obraduje codziennie po kilka godzin Idzie o to, aby zestawić postulaty Koła, co ma być uzupełnieniem do ogłoszonego już komunikatu komisji o działalności Koła.

Sytuacja na Węgrzech

Wiedeń 15 lutego. Z Budapesztu donoszą, iż głosy pism półurzędowych przedstawiają sytuację tak, jakoby rząd węgierski na wczorajszej konferencji, odbytej pod przewodnictwem cesarza, uchwalił zastosować energiczne środki w razie, gdyby opozycja nie ustąpiła. Rzecz ta atoli według informacji pism wiedeńskich tak się nie ma, gdyż rząd węgierski nie myśli ani o rozwiązaniu sejmu węgierskiego, ani też o odroczeniu, któreby się na nic nie zdało. Prawdopodobnem jest atoli, iż opozycja ustąpi.

Wiedeń 15 lutego. *Neue Freie Presse* donosi z Budapesztu, że jutro zapadnie stanowcza i ostateczna decyzja w sprawie rozwiązania przesilenia na Węgrzech. Pewność pod tym względem jest tak wielka, że ci posłowie stronictwa liberalnego, którzy obecnie bawią na prowincji, zostali telegraficznie zawezwani do Budapesztu na czwartek. Wówczas też odbędzie się konferencja, podczas której dowiedzą się posłowie o załatwieniu przesilenia. Jakiej natury będzie to załatwienie — o tem dotychczas nikt nie wie, nawet sam prezydent ministrów Banffy, wszystko bowiem zależy od tego, jak jutro padną kości na konferencji wiedeńskiej.

Budapeszt 15 lutego. Organ urzędowy *Magyar Ujsag* zauważa odnośnie do wieczornej podróży — Banffy'ego, Fejervary'ego, Lukacsa i Kolomana Szella — do Wiednia że rząd ani na krok nie odstąpi od tych najniższych żądań, które korona w porozumieniu z stronnictwem liberalnem sformułowała Jeżeli opozycja zgodzi się na te warunki, to presilenie minęło; — jeżeli nie zgodzi się, a właśnie nad tą ewentualnością toczą się w Wiedniu narady, w takim razie spada na rząd obowiązek: zapomocą z stosowania energicznych środków zaprowadzić zmiany i tak znaleść drogę do przywrócenia porządku i zabezpieczenia zagrożonych interesów kraju.

Celem wiedeńskich audjencyj i ewentualnie po nich pod przewodnictwem cesarza odbyć się mających wspólnych konferencyj, będzie — oznaczenie tych środków i zdobycie dla nich aprobaty korony. Rozumie się samo przez się, że przyszłe układy wiedeńskie mają na sobie charakter tylko przygotowawczy, nie staną się zaś nigdy aktualnemi, jeżeli stronnictwa w Budapeszcie dojdą do porozumienia, którego sobie rząd życzy w pierwszej linji.

Ostatnie słowo należy do opozycji, a podróż do Wiednia ministrów i Szella nie pozbawia tego ostatniego słowa, ani jego ważności, ani związanej z niem odpowiedzialności.

Wiedeń 15 lutego. Cesarz przyjął dziś na osobnej audjencji o godz. 10 rano węgierskiego ministra honwedów, jenerała br. Fejervary'ego; o godz. 11 Kolomana Szella; o 12 węg. min. skarbu dra Lukacsa; o 1 prezydenta ministrów br. Banffy'ego.

O język czeski.

Praga 15 lutego. Naczelnicy gmin okręgu Libodrowickiego uchwalili 10 grudnia zeszłego roku odmówić władzom wojskowym współudziału swego przy zgromadzeniach kontrolnych, zażądać, aby dla żandarmerji wydano druki czeskie i przesłać władzom wojskowym życzenia okręgów czeskich, aby wysyłały tylko takich urzędników, którzy władają językiem czeskim. Zagrozili przytem, że gdy do dnia 1 marca 1899 życzeniom tym nie stanie się zadość, to okręgi czeskie wysnują z tego odpowiednie konsekwencje.

Otóż teraz starosta w Raudnitz wydał do naczelników gminy, którzy powyższe postulaty i groźbę podpisali, rozporządzenie, w którem wskazuje na to, że uchwała ich w pewnej części zawiera istotne znamiona zbrodni zakłócenia spokoju publicznego, że przeto konfiskata tego oświadczenia była zupełnie usprawiedliwiona. Nadto, ponieważ naczelnicy gmin, którzy wspomniane uchwały podpisali, są tylko organami administracyjnymi i wykonawczymi, którym nie przysługuje prawo podpisywania tego rodzaju oświadczeń w imieniu gmin, przeto starostwo wzywa ich, aby się w ciągu dni 4 usprawiedliwili z tego przekroczenia ustawy i obowiązków.

Protest posła Demla.

Wiedeń 15 lutego. *N. W. Tagblatt* donosi z Cieszyna, że poseł dr. Demel z powodu konfiskaty *Silesii* za artykuł, omawiający w sposób ujemny działalność sądów czeskich, wystosował do ministra sprawiedliwości Rubera list tej treści:

Podczas gdy w ostatnich numerach czeskich *Novin Tesinskich* i polskiej *Gwiazdki Cieszyńskiej* swobodnie i bezkarnie napadano na sędziów niemieckich za ich działalność urzędową, to *Silesia* uległa wczoraj konfiskacie z powodu artykułu, w którym wyłącznie omawiano polityczną agitację sędziów czeskich, nie tykając ich działalności urzędowej. W imieniu Niemców wschodniego Śląska protestuję niniejszem przeciw temu niesłychanemu postępowaniu prokuratorji cieszyńskiej, a wyrażam nadzieję, że w. ekscelencja przyczyni się do usunięcia tych stosunków, które zamącają i zachwiewają poczucie prawa u ogółu.

Fałszywe pogłoski.

Wiedeń 15 lutego. Wskutek artykułu *Narodnich Listów*, które dziwnym sposobem skombinowały przesilenie węgierskie ze stosunkami w Austrji i doszły do wniosku, że stanowisko hr. Thuna stanowczo jest zachwiane, ze wszystkich miast prowincjonalnych dochodzą podobne wiadomości. Pisma styryjskie wszystkie jednozgodnie donoszą o zachwianiu się hr. Thuna. Nie trzeba, zdaje się, dodawać, że jest to prosta plotka, oparta na zupełnej nieznajomości stosunków.

Z parlamentu niemieckiego.

Berlin 15 lutego. Komisja budżetowa parlamentu niemieckiego przyjęła dziś 20 głosami przeciw 8 część przedłożenia wojskowego, dotyczącą nowej organizacji korpusów armji. Za przedłożeniem głosowało centrum, obie frakcje konserwatywne, narodowo-liberalni i wolnomyślne zjednoczenie; przeciw wolnomyślna partja ludowa, niemiecka partja ludowa, socjaliści i Polacy.

Postulaty Niemców.

Wiedeń 15 lutego. W sprawie sformułowania narodowo-politycznych żądań Niemców austrjackich, które zostało poruczone delegatom niemieckiej lewicy, donosi *Neue fr. Presse* — że praca delegatów nad referatami, mającymi sformułować narodowo-polityczne żądania Niemców w poszczególnych krajach koronnych, postępuje raźno naprzód i zbliża się szybko do swego ukończenia. Najobszerniej zapowiada się referat, formułujący narodowo-polityczne żądania Niemców, mieszkających w Czechach. Nad referatem tym pracują posłowie Pergelt, Prade i Bernreiter i już w przyszłym tygodniu mają go oni przedłożyć szerszym kołom politycznym, na zebraniu Niemców czeskich w Pradze. Po wygotowaniu wszystkich referatów, zbiorą się delegaci w Wiedniu, celem wspólnego omówienia narodowo-politycznych żądań.

Wiedeń 15 lutego. *Pol. Corr.* donosi z Petersburga, że powodem odjęcia *Graždaninowi* prawa przyjmowania inseratów, były artykuły tego dziennika, skierowane przeciw bankowi szlacheckiemu, który jest instytucją państwową.

Wiedeń 15. lutego. Cesarz przyjął wczoraj o godz. 1 popołudniu ministra spraw zagranicznych, hr. Gołuchowskiego, na dłuższej osobnej audjencji.

Paryż 15 lutego. Ajencja Havasa donosi z Algieru, że tłumy, przeważnie z kobiet złożone urządziły Rochefortowi i Maksowi Regisowi, gdy odjeżdżali, demonstracyjną owację. Spokoju jednak nie zakłócono.

Londyn 15 lutego. Komisja złożona z 84 posłów izby niższej, a należąca do składu międzynarodowego, parlamentarnego sądu rozjemczego, uchwaliła rezolucję, która wita [illegible] cara w sprawie rozbrojenia wyrażeniem [illegible], że rząd wielkobrytański przedłoży konferencji pokojowej projekt urządzenia stałego międzynarodowego sądu rozjemczego.

Wiedeń 15 lutego. W austrjackim związku inżynierów i architektów wygłosił wczoraj architekt prof. Zawiejski wykład, w którym wyświecił powody, skłaniające go do podjęcia akcji w znanej sprawie redutowej. Zarazem przedstawił i wytłumaczył on szczegółowo znane swoje wnioski co do adaptacji gmachu opery dla redut. Po wykładzie nagrodzono prelegenta hucznemi oklaskami, a wielu słuchaczy składało mu swoje życzenia.

Wiedeń 15 lutego. *Wiener Ztg.* ogłasza: Cesarz nadał oficjałowi sądowemu 2ej klasy sądu obwodowego w Sanoku, Antoniemu Stupnickiemu, przy sposobności przeniesienia go na jego własne żądanie w stan spoczynku, tytuł dyrektora kancelarji drugiej klasy.

Nowy Jork 15 lutego. Orkan, który kilka dni tu szalał, ustał wreszcie; pogoda obecnie piękna.

Wiedeń 15 lutego. Cesarz przyjął dziś na osobnej audjencji także wspólnego ministra skarbu Kallaya.

Budapeszt 15 lutego. Bilans powszechnego węg. Banku kredytowego za rok 1898 wykazuje czysty zysk w łącznej sumie 1,819.543 zł. Dywidenda wynosi 18 zł. od akcji.

Kanea 15 lutego. Zgromadzenie narodowe zwołano na 20 b. m.

Rozmaitości.

Odznaczenia w żandarmerji. Cesarz nadał srebrny krzyż zasługi z koroną kierownikowi posterunku tyt. wachmistrzowi Szymonowi Puchtingerowi w Czerniowcach i tyt. wachmistrzowi Janowi Szczuckiemu we Lwowie, dalej srebrny krzyż zasługi tyt. wachmistrzowi Zygmuntowi Lachwarowi we Lwowie i tyt. kierownikom posterunków Karolowi Laufersweilerowi w Czerniowcach za ocalenie człowieka od utonięcia, a Filipowi Bollenbachowi we Lwowie za ocalenie człowieka z pożaru, z narażeniem własnego życia.

Z rozmyślań popielcowych fikalskiego Wstał przed chwilą — przemył zaspane oczy i podszedł... z trudnością do lustra. Popatrzył i pokiwał złowróżbnie głową. Oczy podkrążone, ich przygasły wyraz, jeszcze bardziej zarysowujące się policzki mówiły mu, iż czasby zacząć się „restaurować". Wszystko to zresztą byłoby głupstwem — tylko te nogi — te przeklęte, nieszczęśliwe pedały! Jakieś łamanie lekkie powyżej kostki, podczas gdy poniżej kostki już nic nie czuje, tylko jedną wielką, niewysłowioną, bezbrzeżną, — jak mówi *Życie* — otchłań przebytych ruchów i wrażeń. Gdyby genjusze w guście Edisona byli pomyśleli nad wynalezieniem aparatu zegarowego, naturalnie kieszonkowego, któryby mierzył dokładnie ilość poruszeń, jakie w tylu tańcach aranżowanych i wirowych na sali balowej człek pedałami czyni, to Fikalski spojrzawszy teraz na ów aparat, wyczytałby tam ogromnie dużą i poważną cyfrę. Cyfra ta tłumaczyłaby mu owe znieczulenie st py, łamanie powyżej kostki, przykre uczucie niegrzecznych odcisków i wszystkie inne przypadłości pokarnawałowe. Taka rzecz człowiekowi dogryza. Fikalski sobie poradził — zadzwonił na służącego i zaordynował kneipowską kurację. Po chwili już siedział, mając odnóża swe po kostkę zanurzone w zimnej wodzie. Siedział i dumał. Służący tymczasem sortował pozbawione dobrze swej dziewiczej białości rękawiczki i batystowe krawaty — było tego wszystkiego dużo — ogromnie dużo. Fikalski jednak nie myślał o ilości wydanej na ten cel mamony.

Przed oczyma stanęła mu urocza postać „jedynaczki" jego szefa, która właśnie przed dwoma dniami zaręczyła się z drugim jego kolegą biurowym. Poprostu tamten miał szczęście. A on?!...

A on wzdrygnął się przed tak niesmaczną marą swych nieudałych zamiarów.

Dokończył toalety i kazał zawołać fiakra, których czas jakiś stanowczo musi używać, gdyż mieszka „nieco dalej od Rynku". Dziś do biura stanowczo spóźni się — kazał jechać najpierw do Szkowrona, gdzie ma zamówionego z kolegami popielcowego „śledzia". *(m. w.)*

Telegramy giełdowe i targowe.

Wiedeń 15 lutego

Giełda pieniężna. Wczoraj po zamknięciu giełdy wieczornej notowano Kredyty 368·62 Węg. Kredyty 398·50, Anglobanki 159·60. Wiedeńsk. „Bankverein" 283·—, Unjony 323·50 Laenderbank 249·—, Sztachany 364·25, Lombardy 68·—, Elbetahle 257·—, Kolej północno-zachodnia 244·50, Tytuniowe 132·70, Rima 327·—, Alpiny 234·75, Renta majowa 101·70 Węg. renta koronowa 97·85, Losy tureckie 67·80, Marki niemieckie 58·98, Ruble 127·25

Przyjechali do Lwowa.

dnia 15 lutego 1899 r.

HOTEL IMPERIAL ulica Trzeciego Maja l. 3, pierwszorzędny hotel, restauracja i kawiarnia. J. hr. Kochanowski z Krakowa. S. Niezabitowski z Uherca. F. Domański z żoną z Ubina. K. Gołębski z Szumlau. W. Lanne, R. Labeznik z Wiednia. S. Sękowski z Wojsławia. M. Krzysztofowicz z Załucza. K. Ładomirska z Markowiec. O. Smreker z Manheim. W. Krobicki z Tarnopola. Prof. F. Smolka z Krakowa. A. Bal z Krosna.

HOTEL EUROPEJSKI. J. Makomaski z Królestwa. H. Broniowski z Liwcza. B. Kapliński z Machnówki. K. Hadinger z Wiednia. J. Kossowski z Rudy. Dr. Kader z Krakowa. Dr. H. Jordan z Krakowa. M. Goldberg z Grzymałowa.

Nadesłane.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

Podziękowanie.

Dotknięty ogromnem nieszczęściem z powodu śmierci ś. p. żony, nie jestem zdolny podziękować każdemu z osobna za liczne objawy szczerego współczucia. Niechaj więc przyjąć raczą serdeczne Bóg zapłać: przewielebne duchowieństwo obydwóch obrządków, czcigodny lekarz J. za pełny trudu ratunek, przygodny chór za rzewne śpiewy i wszyscy znajomi, przyjaciele i koledzy.

Emil Gajewski
kontrolor podatkowy w Sieniawie.

160 1—1

ZE ŚWIATA.

Przygody Amerykanki na Filipinach. Wojna gerylasowska, prowadzona obecnie znowu na Filipinach, powstała nietylko wskutek oburzenia się na panowanie hiszpańskie. Prowadzona ona jest od wielu lat. Zbierają się wyrzutki społeczeństwa, nie chcący pracować, złoczyńcy, kryją się w lasach i górach, klimat i bogato uposażona natura nadzwyczaj im sprzyja, i czekają sposobnej chwili, aby wypaść i w okolicznych wioskach zaopatrzyć się w żywność. Amerykanka, która o tem pisze w jednym z dzienników amerykańskich, powiada, że sama była świadkiem takiego napadu w bliskości Manili. Pewnego wieczoru rozległ się nagle we wsi, w której zamieszkałyśmy wielką willę, pełen trwogi krzyk: *Tulisanes!* — tak się bowiem nazywają ci rabusie. W jednej chwili pogaszono wszystkie światła, drzwi i okna zatarasowano; wszyscy padli na kolana przed małym domowym ołtarzykiem św. Antoniego, drżąc ze strachu i przerażenia i bijąc się wśród gorących modłów w piersi. Usłyszano kilka strzałów i tętent koni; po upływie pół godziny zapanował spokój. Nasz dom pozostał nietknięty; rabusie zadowoleni odeszli ze zdobyczą, zrabowaną gdzieindziej. Jako jedyny ślad po nich pozostały rozrzucone na drodze związane z sobą spiczaste kawałki trzciny bambusowej, aby się uchronić przed prześladowaniem. Ostrożność ta była zbyteczną, gdyż i w Manilli policja i patrole zwykle tam się znajdują, gdzie niema nic do roboty. Wszyscy kryją się przed tymi rozbójnikami, mówią nawet, że niektórzy mieszkańcy wiosek znajdują się z nimi w porozumieniu i zawiadamiają ich o stosownej do napadu chwili.

Muszelki wybuchające. Dotąd znane były owoce wybuchające. Teraz zaś czasopismo *National Druggist* wspomina o muszlach wybuchających, które jednak tylko w szczególnych warunkach wybuchają. Warunki te są niemniej ciekawe. W Stanach Zjednoczonych w Mobile Bay, młoda Amerykanka, przechadzając się, znalazła kilkanaście muszelek podobnych do skorup ślimaków. Nie przyglądając im się baczniej, schowała je do kieszeni i wkrótce o nich zapomniała. W jakiś czas dopiero, ubierając się w suknię, którą miała na sobie podczas pamiętnej przechadzki, poczuła zapach nieprzyjemny zgnilizny. Przypomniawszy sobie muszelki, wyjęła je z kieszeni i w pospiechu kilka puściła na ziemię. Przez nieuwagę nadeptała na jedną z nich nogą i nagle nastąpił wybuch dość gwałtowny. Ubawiona tem panna, zgniotła jeszcze kilka muszelek i zjawisko powtórzyło się. Współpracownik czasopisma *National Druggist* został proszony o dokładne zbadanie muszelek. Po szczególowem obejrzeniu tychże okazało się, że otwór ich był szczelnie zamknięty przez dość grubą błonę. Żyjątka, zasklepiwszy się na wzór ślimaków, wzięte z miejsca rodzinnego, zamarły. Wskutek tego każda muszelka napełniona była gazem, powstałym z rozkładu ciała. Gaz ten, przez zgniecenie skorupki, wydobywał się na zewnątrz i wybuchał, łącząc się z powietrzem.

Uduszenie cara Pawła I. Z wiarygodnej strony donoszą o tajemnicy, jaką jeden z nauczycieli rysunków w gubernji woroneskiej, powierzył przed śmiercią swemu przyjacielowi. „W r. 1801 — opowiadał nauczyciel — byłem uczniem akademji sztuk pięknych, gdy pewnej nocy marcowej wpadło kilka osób do mego mieszkania z wezwaniem, abym zabrał farby i pędzle i poszedł z niemi. Wsadzono mnie do powozu, w którym siedział poważny, milczący człowiek w ubraniu cywilnem. Powóz zatrzymał się przed wspaniałą fasadą jakiegoś bardzo eleganckiego domu. Przerażony i zmięszany musiałem iść przez ciemne ganki i kurytarze do jakiegoś pokoju, gdzie w rogu na szerokiej otomanie leżała postać ludzka, okryta czarnem suknem. Gdy ją zdjęto, zobaczyłem osobę, która według wszelkich oznak zmarła gwałtowną śmiercią, gdyż twarz była zupełnie rozbita i zeszpecona. Kazano mi tej twarzy nadać taki wygląd, aby zdaleka nie można było poznać zeszpecenia. Widziałem dokoła siebie groźne twarze i usłuchałem dawanych mi krótko, ale stanowczo wskazówek, a ręce mi drżały ze zgrozy. Po ukończeniu mej okropnej pracy przystąpił ktoś do mnie i zapytał, jak chcę sobie urządzić przyszłość. Na moją odpowiedź że chcę zostać nauczycielem rysunków, powiedziano mi, że mogę taką posadę objąć natychmiast, ale muszę wyjechać bezzwłocznie i milczeć o tem, co się tu działo, jak grób, gdyż w przeciwnym razie gadatliwość moją drogo opłacę. Następnie otrzymałem kopertę, zawierającą pieniądze na podróż i adres. Nazajutrz siedziałem w powozie i z dziwnem uczuciem jechałem do miejsca przeznaczenia, gdzie też i mój żywot kończę." Nauczyciel zmarł w 90 roku życia.

Zakazane całusy. Z powodu panującej w stanie New Jersey epidemji influency, wydał gubernator edykt, w którym obywatelom obojga płci zabrania całowania się. O ile takie zarządzenie władzy wywołuje szyderski uśmiech na usta, ponieważ nie można skontrolować stosowania się do tego rozkazu, to jest on jednakowoż rozumnym. Wiadomo, że bakcyl influency posiada swe siedlisko w ustach i w nosie i może się łatwo przenosić. W Ameryce zresztą agitacja przeciwko całusom nie jest niczem nowem. Rozpoczęło się od tego, że dawniej istniał przepis, według którego świadek, którego zaprzysięgano, przed złożeniem przysięgi musiał pocałować biblję. Ludzie, którzy się obawiali mikrobów, nie chcieli spełniać tej formalności i w New-Jersey utworzyła się „liga anticałusowa", która się rozszerzyła po całej Ameryce. W rezultacie wynaleziono antiseptyczną okładkę na biblję, którą po każdem pocałowaniu dezinfekowano.

L. 145. 168 1—2

KONKURS.

Przy urzędzie gminnym w Mościskach opróżnioną została posada kontrolora, a zarazem pisarza z roczną płacą 400 złr. a. w.

Mający chęć ubiegania się o tę posadę winni wnieść do tutejszego urzędu gminnego własnoręcznie pisane podania zaopatrzone w dowodami fachowego uzdolnienia w myśl rozporządzenia wysokiego Wydziału krajowego z dnia 20 maja 1898 l. 25.422 (dziennik ustaw i rozporządzeń krajowych z dnia 27 października 1898 Nr. 88) a dalej do 10 marca 1899 r.

Posada ta nadaną zostanie na jeden rok prowizorycznie, poczem stabilizacja nastąpić może.

Przy objęciu urzędowania winien jest złożyć kaucję służbową jednorocznej płacy wyrównywającą w gotówce lub w obligacjach krajowych.

Zwierzchność gminna miasta Mościska
dnia 10 lutego 1899.

Ir Kwak, burmistrz.

Praes. 2041/15. 158 1—2

OBWIESZCZENIE.

C. k. Prezydjum Sądu krajowego wyższego we Lwowie rozpisuje rozprawę ofertową na oddanie w drodze przedsiębiorstwa budowy do erarjalnego budynku sądowego w Tyśmienicy i robót adaptacyjnych tak w tym budynku, jak i w budynku aresztowym, pod następującymi warunkami:

1. Ogólna suma kosztorysowa wynosi okrągło 13.200 złr.
2. Za podstawę umowy wzięte będą ceny jednostkowe, nie suma ryczałtowa.
3. Za podstawę obliczenia służą plany i kosztorysy, zatwierdzone przez c. k. Ministerstwo sprawiedliwości.

Plany te, tudzież ogólne i szczegółowe warunki budowy można przejrzeć w biurze c. k. Kierownictwa budowy gmachu sprawiedliwości we Lwowie, przy ul. Batorego l. 1.

4. Oferty wnosić należy do podanego powyżej Kierownictwa budowy najdalej do 1 marca 1899, godz. 12 w południe.

O sposobie ułożenia ofert udzieli informacji rzeczone Kierownictwo.

5. Wybór i zatwierdzenie oferty przysłuża c. k. Prezydjum Sądu krajowego wyższego we Lwowie.
6. Każdy oferent winien złożyć jako wadjum 5% ceny kosztorysowej.
7. Po zatwierdzeniu oferty zostanie z przyjętym oferentem zawartą umowa o budowę. Oferent ten będzie obowiązany w terminie, który mu będzie oznajmionym, uzupełnić wadjum do wysokości 10% oferowanej sumy; wadjum to stanowić będzie kaucję za dotrzymanie zobowiązań przez przedsiębiorcę przyjętych.
8. Wypłata całej należytości nastąpi po zatwierdzeniu przez c. k. Ministerstwo sprawiedliwości kolaudacji.

W miarę postępu robót i przyzwolonego kredytu może przedsiębiorca otrzymać zaliczki na podstawie poświadczeń c. k. Kierownictwa budowy.

Lwów dnia 9 lutego 1899.

Dylewski.

Ruch pociągów kolejowych obowiązujący z dniem 1. października 1898.

(Przyjazdy i odjazdy pociągów podane są według zegaru środkowo-europejskiego).

Do Lwowa przychodzą:

Z KRAKOWA na dworzec główny posp. 5·10 rano, osob. 9·05 rano, posp. 1·30 w południe, osob. 6·10 wieczorem, posp. 8·45 wieczorem, osob. 9·10 wieczorem.

Z PODWOŁOCZYSK na dworzec w Podzamczu osob. 3·04 w nocy, posp. 2·15 w południe, osob. 5·— popołudniu, posp. 9·39 wieczorem.

Z PODWOŁOCZYSK na dworzec główny osob. 3·30 rano, posp. 2·30 popołudniu, osob. 5·25 popołudniu, posp. 9·55 wieczorem.

Z CZERNIOWIEC osob. 6·45 rano, osob. 10·35 przedpołudn., posp. 1·50 w południe, osob. 5·40 popoł., posp. 9·45 wieczorem.

ZE STRYJA, ŁAWOCZNEGO, KAŁUSZA, CHYROWA, BORYSŁAWIA osob. 8·05 rano, osob. 1·40 w południe, osob. 10·30 w nocy, osob. 12·15 w nocy.

ZE SOKALA i RAWY RUSKIEJ osob. 7·55 rano, osob. 5·55 popołudniu.

Z TARNOPOLA i BRODÓW na Podzamcze osob. 7·50 rano; na dworzec główny osob. 8·15 rano.

Z JAROSŁAWIA i LUBACZOWA osob. 10·45 przedpołudn.

Z JANOWA osob. 7·40 rano, osob. 1·01 w południe.

Ze Lwowa odchodzą:

DO KRAKOWA osob. 4·10 rano, posp. 8·35 rano, osob. 8·50 rano, posp. 2·50 po południu, osob. 6·40 popoł., posp. 10·40 wieczorem.

DO PODWOŁOCZYSK z dworca głównego posp. 6·— rano, osob. 9.35 rano, posp. 1·55 popołudniu, osob. 11·— w nocy.

DO PODWOŁOCZYSK z Podzamcza posp. 6·15 rano, osob. 9·58 rano, posp. 2·08 popoł., osob. 11·27 w nocy.

DO CZERNIOWIEC posp. 6·05 rano, osob. 10·55 przedpoł., posp. 2·10 popoł., osob. 6·30 wieczorem, osob. 10·05 wieczorem.

DO STRYJA, SKOLEGO, KAŁUSZA, HREBENOWA, ŁAWOCZNEGO, CHYROWA, BORYSŁAWIA osob. 5·20 rano, osob. 9·15 przedpołudniem, osob. 3·— popołudniu, osob. 7·— wieczorem.

DO SOKALA i RAWY RUSKIEJ osob. 9·55 przedpołudniem, osob. 7·10 wieczorem.

DO TARNOPOLA z dworca głównego osob. 6·55 wieczorem; z Podzamcza osob. 7·15 wieczorem.

DO JAROSŁAWIA i SAMBORA przez Przemyśl osob. 4·55 popołudniu.

DO JANOWA osob. 8·45 rano, osob. 7·44 wieczorem.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.

Bolesław Prus o Galicji.

Znakomity kronikarz warszawski pisze w ostatniej swojej kronice, że otrzymał następujący list od jednego ze swoich czytelników:

„... Nie jestem Stanleyem ani Nansenem; nie podróżowałem pod równikiem ani pod biegunem, tylko po naszych polskich drogach, a w najlepszym razie po szosach. Może jednak w tej małej notatce z podróży znajdzie pan coś interesującego dla swoich czytelników.

Pewnej nocy, na stacji pocztowej M. wsiadłem do karetki, która na szosie X, wozi podróżnych pomiędzy miastami A i B. W nawiasie dodam, że karetka dzieli się na dwie części: w przedniej może zasiąść sześć osób, w tylnej cztery. Ja miałem miejsce w przednim oddziale, gdzie już znajdowało się trzech panów. Czy w tylnym siedział kto?... na razie nie wiedziałem.

Wszystkie te szczegóły opowiadam, zapewne bez potrzeby, jak stary gaduła, albo jak tępy uczeń, który, gdy go nagle zapytają: powiedz szóste lub siódme przykazanie?... musi zacząć od słowa: „Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi Egipskiej“... choć wiadomo, że jego — Pan Bóg nie wywodził z ziemi Egipskiej.

Tak samo i ja. Gdybym nie opowiedział: czem jechałem? może nie potrafiłbym opowiedzieć: co słyszałem?... Gdy więc wsiadłem do frontowej części karetki i przy blasku cygar zostałem obejrzany przez moich towarzyszów od stóp do głowy, jeden z nich dalej prowadził poprzednio rozpoczętą rozmowę:

— Tak, tak panie!... Z Galicją jest naprawdę źle...

— Chory nieboszczyk!... — mruknął jegomość w płaszczu podbitym psami.

— Pan dobrodziej musi mieć kantor pogrzebowy w Warszawie?... — odparł inny jegomość, w algierce z morskich cieląt, obróconych włosem do góry.

— Dla czego, proszę ja kogo?... — oburzył się pan w psach.

— Bo tak bez namysłu awansujesz pan sześć miljonów ludzi na nieboszczyków...

— Mam rację! — wołał pan w psach. — Czy to porządne społeczeństwo powinno znosić głód w kraju, albo takie skandale w Kasie Oszczędności?... Miljony z niej przepadły! A jakie to miljony?... Może wielkich panów, którym robi się łaskę, tracąc ich pieniądze, bo nie będą mogli kompromitować się w Monaco?... Może miljony giełdziarskie czy lichwiarskie, zarobione na ludzkiej krzywdzie?... Nie panowie!... To były miljony zebrane w pocie czoła, przez ubogą, pracującą i oszczędzającą ludność...

— Zła gospodarka finansowa trafia się wszędzie — odparł właściciel cieląt morskich. — Ale bankructwo Kasy Oszczędności nie może zasłaniać tego, co w Galicji jest dobrem...

— Ciekawym?... — mruknęło psie futro.

— Naprzód w Galicji jest bardzo wielu uczonych i to znakomitych i zasłużonych. Powtóre — nawet prostota garnie się tam do nauki, dzięki czemu więcej ludzi umie czytać, aniżeli u nas. Inteligencja zaś tamtejsza zakłada nie tylko kursa elementarne dla dorosłych analfabetów czyli nieuków, ale nawet zajęła się uniwersytetem ludowym. Po trzecie — jest tam kilka tysięcy rozmaitych stowarzyszeń, a więc choćby i kilka tysięcy ludzi, mających inicjatywę, dbających o interesa ogólne. A nareszcie, muszę panom powiedzieć, że pod względem dojrzałości społecznej Galicjanie zdystansowali nas... Pomyślcie tylko o ich politycznym związku z Czechami, co to za dobra rzecz... Mężowie galicyjscy już nie sentymentalizują w polityce, jak nie przymierzając, my, ale — rozumują, obrachowują zyski i straty... To jest panie dojrzałość!... Tam już nie łapią się na piękne deklamacje i wielkie frazesy. Tam choćby szło o przymierze z samym djabłem, zamiast odżegnywać się ze strachu, ludzie pytają:

— A co kraj na tem zyska?...

Teraz odezwał się milczący dotychczas, trzeci pasażer:

— Bardzo dziękuję panu za obronę Galicji, gdyż ja sam jestem Galicjaninem... Pan ma słuszność, że w Galicji jest dużo uczonych, że rozwija się oświata, a ludność społecznie i politycznie bardzo dojrzewa... Ale i drugi pan ma rację, że — u nas jest ciężka bieda. Przekonać się o tem można choćby po mojej nikłej personie. Ja w Galicji należę, mniej więcej, do tej warstwy społecznej, co panowie tutaj. Ale kiedy każdy z was ma tęgie futro, to ja ledwie mogłem zdobyć się na paltocik wiatrem podszyty... A kiedy każdy z panów waży około 200 funtów netto, ja, nawet z tarą, nie dochodzę 180. Bo też każdy z panów jada za trzech...

— Gubi was rząd austrjacki.... — wtrącił pan w cielętach morskich.

— Nie powiem, nie powiem!... — odparł galicyjski paltocik, chuchając w ręce. — Zaraz panowie przekonają się, że u nas jest coś gorszego od Austrjaków — mianowicie — nasze własne niedbalstwo..

Wiecie, że nam strasznie brakuje przemysłu. U nas jest stosunkowo sześć razy mniej ludności zajmującej się przemysłem, aniżeli w Czechach.

Rozumiecie panowie, że w takim stanie rzeczy — gminy, rady miejskie i powiatowe w Galicji powinnyby każdą robotę techniczną oddawać tym nielicznym miejscowym przemysłowcom, jacy jeszcze istnieją. Bo przecież jeżeli do tych prac zwabiemy cudzoziemców, to każdy z nich ogłodzi jednego, a może i dwu Polaków...

— Pan nie lubi Niemców?... — zapytał nagle ten w cielętach morskich.

— Owszem, bardzo lubię i szanuję, choćby dla tego, że u nich nietylko nauczyłem się technologji, lecz jeszcze — porządku, punktualności, oszczędności... Ależ ci sami Niemcy, moi mistrze, mówili mi, że — głupi jest naród, który przez niedbalstwo czy płytkie rachunki marnuje własne siły...

Pan dobrodziej powiedział, że nasz przemysł gubi rząd austrjacki. A czy pan wie, że niektóre nasze bardzo poważne fabryki żelazne, istnieją — jako tako — tylko dzięki rządowym obstalunkom?... Tymczasem nasze miasta i miasteczka, o ile mogą usuwają własnych przemysłowców, a protegują cudzoziemskich...

Naprzykład wodociągi w Krakowie ma budować firma niemiecka z Czech, we Lwowie — z Manheimu. Urządzenia mechaniczne do wodociągów dla Krakowa ma robić jakaś fabryka niemiecka z Czech, dla Lwowa — fabryka ze Stuttgartu, albo z Berlina. Rzeźnie w Krakowie już otrzymała firma z Kasselu, we Lwowie zapewne ta sama. Elektryczne oświetlenie w Przemyślu, Jaśle, Nowym Targu wykonał Siemens, a na Podgórzu pod Krakowem otrzyma firma czeska.

Jeden tylko Władysław hr. Zamoyski — urządzenie centralnej stacji elektrycznej w Zakopanem oddał spółce młodych polskich elektrotechników.

Powiedzcie teraz panowie, czy takie powierzanie robót obcym nie równa się puszczaniu krwi człowiekowi anemicznemu, któremu już i tak nie wiele się należy?...

Towarzystwo przyjaciół pokoju.

Jak donoszą *Odesskija Nowosti* podjęto w Odessie próbę zorganizowania społecznych sił Rosji na korzyść idei pokoju. Na czele stanął J. A. Nowikow, honorowy członek „towarzystwa pokoju przez prawo“ i wypracował projekt ustawy nowego stowarzyszenia, które ma nosić nazwę: „Rosyjskie towarzystwo przyjaciół pokoju“.

Zadaniem tego towarzystwa będzie szerzenie wśród publiczności przekonania, że kwestje międzynarodowe i spory mogą być rozstrzygane bez przelewu krwi za pomocą sądu rozjemczego i że sojusz federacyjny państw jest możliwy i pożądany. Aby osiągnąć zamierzony cel, powinno towarzystwo urządzać zwyczajne i nadzwyczajne zebrania swych członków w celu wysłuchania i ocenienia sprawozdań i wykładów, organizować literackie, muzykalne i dramatyczne wieczorki i odczyty; wydawać protokoły posiedzeń, sprawozdania i prace na podstawie ogólnych postanowień cenzuralnych, posiadać odpowiadającą swemu celowi bibljotekę i archiwum, wyznaczać pieniężne i inne nagrody za opracowanie zadanych przez towarzystwo tematów i kwestyj i wreszcie zawierać stosunki z innemi towarzystwami i poszczególnemi osobami, które mogą być użytecznemi w urzeczywistnieniu zamierzonego przez towarzystwo celu.

Członkami towarzystwa mogą być osoby obojga płci, bez różnicy stanu i wyznania. Członkowie dzielą się na honorowych i rzeczywistych. Członkami honorowymi mogą być wybierane osoby, które oddały towarzystwu jakieś szczególne usługi, albo też wyróżniły się swemi pracami w przedmiocie, tyczącym się sfery działalności towarzystwa. Członkami rzeczywistymi mogą być wybierane osoby, które czynną pomocą mogą oddać usługi towarzystwu. Honorowi nie płacą żadnych wkładek, rzeczywiści 5 rubli rocznie, albo 100 rubli jednorazowo.

Projekt statutu przedstawiony będzie do zatwierdzenia ministerstwu.

Z MOTYWÓW SZOPENA.

I.

Preludjum.

O graj-że mi! Niechaj płyną
Ubóstwionej pieśni tony,
O tysiące staj —
Takie rzewne, takie śpiewne
Jako wiatr nad połoniną,
Trącający drzew korony.
Jako echa nad doliną
Żałośliwe, a powiewne,
O graj-że mi, graj dziewczyno,
O graj-że mi, graj!...

. . . .

O graj-że mi!... Niechaj prześnię
W czarów sile jedną chwilę,
Co mi stworzy raj,
Co mnie w ciszę ukołysze
I przypomni owe pieśnie,
W których cudnych tonów tyle,
Co brzmią smętnie i boleśnie,
Jak wieczorne hymny mnisze,
Niech usłyszę je choć we śnie.
O graj-że mi, graj!...

. . . .

O graj-że mi — to, co śpiewa
Hen, z pod chmury chór nad chóry
To, co szumi gaj,
Co śród wiosny szemrzą sosny,
To co z echem wiatr rozsiewa,
Kwilą leśne trubadury,
Hymn, co grają szumem drzewa
To figiarny — to żałośny,
Co i śmieje się i gniewa.
O graj-że mi, graj!...

. . . .

O graj-że mi!... Marzeń roje
Niech przed oczy mi roztoczy
Twej melodji maj —
Niech w jej tony pochwycony
Słyszę, jako mruczą zdroje,
Jak po żwirze strumień broczy,
Szemrzą trawy i powoje,
Jęczą dęby, gwarzą klony,
Niechaj płacze serce moje,
O graj-że mi, graj!...

. . . .

II.

Mazurek.

Tęskno skrzypki struny stroją,
Tęskno nucą pieśń prostaczą,
Co odbiega w dal —
Smętnie grają piosnkę swoją,
A tak jęczą, a tak płaczą,
Że aż słuchać żal...

. . . .

Smętnych tonów biegną echa,
Skrzypka kwili, skrzypka śpiewa,
Jak eolski chór —
Jak to niebo się uśmiecha,
Jak w jesieni szumią drzewa,
Czarny szemrze bór...

. . . .

Grajcie skrzypki, grajcie rzewnie,
Niech z poranną srebrną rosą
W dal piosenki mkną —
O tej małej mej królewnie,
Niechaj wiatry dumkę niosą,
Że tak kocham ją!...

. . . .

. . . .

Paweł Kośmiński.

Kwiaty i kwiaty.

Nowy Jork 31 stycznia.

Dziwny zapach, przepiękny szerzy gwoździk, wyprowadzony przez bostońskiego ogrodnika Piotra Fischera. Pracował długie lata, aż nareszcie udało mu się wyprowadzić gwoździk, który od zwykłych różni się się nietylko swą olbrzymią wielkością, ale także i śliczną barwą. Gdy gwoździk ten ukazał się po raz pierwszy na wystawie kwiatów, wywołał sensację, a jeden z bogatych przyjaciół kwiatów z Chicago ofiarował hodowcy 6000 dolarów za wszystkie flance i prawo nazwania gwoździka swojem nazwiskiem.

Boston jednak, znany jako „miasto inteligencji,“ jako ojczyzna *„boston baked beans“* i jako „środek wszechświata,“ jest zdecydowany do tych trzech przydomków dodać jeszcze i czwarty: „miasto gwoździków.“ Tomasz Lawson, bogaty i patrjotyczny obywatel, aby kwiat ten zatrzymać dla Bostonu, ofiarował Fischerowi 30.000 dolarów. Zaofiarowania tego ogrodnik jeszcze nie przyjął, ponieważ ma nadzieję, iż na pojedyńczej sprzedaży zarobi daleko więcej.

Gwoździki są obecnie *en vogue*. Zapalają się do nich wszyscy tak, jak przed 200 laty zapalano się do tulipanów w Holandji. Jak wtedy rozważni, obdarzeni rybią krwią Holendrzy oddawali się tej niepojętej tulipanomanji, która znajduje *pendant* w obecnej manji zbierania kart pocztowych z widokami, tak dziś płacą się w Bostonie majątki za nowy rodzaj gwoździka. Jeden ogrodnik z Denveru, w stanie Colorado, już ogłosił, iż wkrótce wystąpi z niebieskim gwoździkiem, którego koloryt będzie tak samo delikatnym jak niezapominajki.

Dziwna rzecz, że i wonne kwiaty Flory podlegają modzie. Nigdzie tego lepiej obserwować nie można, jak w Ameryce.

Gdy przed niespełna laty 15 przybył angielski piserz Oskar Wilde do Stanów Zjednoczonych, wprowadził modę noszenia słonecznika, znanego dotychczas w Ameryce tylko jako pasza dla bydła. Panie nosiły te ogromne kwiaty przy paskach, na kapeluszach, przy stanikach, w teatrze, w kościele i w sali balowej. Gdzie się tylko było zwrócić widziano wszędzie olbrzymie słoneczniki, z przypiętymi do nich kobietami. Słoneczniki opanowały wystawy sztuk, patrzyły z stylowych mebli na zwiedzających, amerykańskie narzeczone używały słoneczników jako wyroczni: „kocha — nie kocha.“

Gdy karjera Wildego skończyła się tak smutnie w więzieniu angielskiem, skończył się i kult słonecznika w Ameryce, i dziś roślina ta jest znów tylko paszą dla bydła, a ziarna ich pokarmem dla leniwych karpi.

Przez krótki czas dzierżyły prym dziś już zapomniane stokrótki, po nich nastąpiły róże, wyparte w następstwie przez chryzantemy — służące Japończykom nietylko jako ozdoba, ale także jako materjał do wyrabiania proszku na robactwo. Jakże dziwnie wplata się w czarowną poezję zwykła, brutalna proza!

Kult kwiatów jest w istocie w Stanach Zjednoczonych niesłychany. „Czterystu“ Nowego Jorku wydaje na przybranie jednej sali kwiatami nieraz cały majątek. Niedawno odbył się tutaj ślub „miljonerski.“ Cały pokój zmieniony był w grotę kwiatową, młoda para stała pod baldachimem z kwiatów pomarańczowych. Salon ubrany był tysiącami róż i orchidei; z tych ostatnich płacono pojedyńcze kwiaty po 5 do 15 dolarów. Rachunek za kwiaty wynosił 10.000 dolarów. *N.*

Tron i teatr.

Trudno przewidzieć, co będzie w XX wieku, to pewna, że w XIX teatr odegrał bardzo wybitną rolę. Bez teatru nie pojmujemy dziś życia; teatr interesuje wszystkie sfery społeczeństwa, tylko, że jedni namiętnie scenę lubią, inni — traktują ją obojętniej. Cesarz austrjacki namiętnie lubi teatr i ciągle go swoją szkatułą popiera. Z jego polecenia wszystkie arcyksiężne i wszyscy arcyksiążęta uczęszczają do teatrów prywatnych, aby swoją obecnością ściągać publiczność. Sam cesarz osobiście każdej nowej sztuce zapewnia swoją opiekę. Jeżeli publiczność przyjmuje sztukę chłodno, a ona się cesarzowi podoba, monarcha siada na przodzie loży i zapalczywie bije brawo. Niejedną sztukę uratował cesarz w ten sposób od upadku. Nic dziwnego, iż wszyscy pisarze dramatyczni starają się o to usilnie, aby cesarz był na ich premjerach. Książę Walji również namiętnie lubi teatr i roztacza opiekę nad sceną oraz aktorami, o wiele jednak mniejszą niż cesarz austrjacki. Cesarz Wilhelm II jest znawcą sztuki i lubi za takiego uchodzić, jest również inżynierem, rzeźbiarzem, malarzem, muzykiem; będąc w teatrze, głośno wypowiada swe zdanie o grze artystów i krytykuje ją bystremi uwagami. Król rumuński nie interesuje się teatrem wcale, nigdy nie patrzy na scenę, tylko ciągle lornetuje salę widzów. Kiedy się widowisko skończy, król się odzywa: „Chwała Bogu! już się nudy skończyły!“ Tak samo zapatruje się na scenę król serbski, Aleksander, który tylko wtedy rzuca wzrok na scenę, gdy się ukaże ładna artystka. Resztę czasu spędza na rozglądaniu się po sali i na bębnieniu palcami. Królowa Wiktorja przyjmuje u siebie wielkich artystów i chętnie z nimi rozmawia. W teatrze bywa rzadko — i tylko na początku sztuki, gdyż sędziwa monarchini wcześnie kładzie się do łóżka.

Autorka 365 obiadów.

Prawdopodobnie niema wśród czytelniczek naszych ani jednej, którejby obcem było nazwisko p. Lucyny Ćwierciakiewiczowej. Pani ta, która stale przemieszkuje w Warszawie, a w lecie daje się widzieć w galicyjskich miejscach kąpielowych, napisała książkę kucharską pt. „365 obiadów, jak twierdzą znający się na rzeczy, wcale nie pierwszorzędnej wartości praktycznej, mimo to jednak nadzwyczaj rozpowszechnionej. Popularność, jaką sobie pani Ćwierciakiewiczowa zdobyła tą książką, zaćmiewa — bez żartów — sławę Sienkiewicza, którego dzieła zawsze przecież są w wielkiej części własnością tylko wykształceńszego ogółu, a dochody autorskie, jakie zebrała z licznych wydań tej jedynej publikacji, drwią sobie z łącznych honorarjów, jakie zebrał w czasie swojej karjery literackiej wcale niezły poeta, jakim był Słowacki. To powodzenie pani Ćwierciakiewiczowej potwierdza niepochlebną opinję o Polakach, że do majątku dochodzą wśród nich najłatwiej ci, którzy pracują dla żołądka — najtrudniej ci, co pracują dla głowy. Ale pani Lucyna oprócz swoich 365 obiadów słynie także z ekscentryczności, o której kuracjusze Krynicy opowiadają cuda prawdziwe. Oto mała próbka wyjęta z bogatego zbioru legend, krążących o pani Lucynie.

Na spacerze spotka ona któregoś ze znajomych.

— Dzień dobry, proszę pana do mnie, mam doskonałą nową nalewkę. (Pani Ćwierciakiewiczowa wyrabia także nalewki).

Znajomy wymawia się jak może, bo właśnie nie ma apetytu na ów specjał, lecz szturm jest zbyt silnym — i ostatecznie musi ten pan kapitulować.

Pani Ćwierciakiewiczowa wyjmuje w mieszkaniu pękatą flaszkę ze swego magazynu i nalewa kieliszeczek.

— Dobra, nieprawdaż?

— Wyśmienita — chwali gość.

— Więc jeszcze jeden. Ale wie pan co? Weź pan sobie tę flaszkę i przy tych słowach pani Ć. wpycha swojemu gościowi gwałtem butelkę do kie-

Po chwili ofiara, pochwycona na deptaku krynickim, przekonawszy się, że jedna jest tylko nalewka na świecie, a pani Ćwierciakiewiczowa jej prorokiem, ulatnia się, zostawiając autorkę 365 obiadów, tryumfującą z powodu tak przyjemnej wizyty. Sądzicie państwo, że na tem się skończy? Przenigdy. Nazajutrz schwytany pan otrzymuje od pani Lucyny troskliwy list z zapytaniem, czy naprawdę smakowała mu jej nalewka i... rachunek za wczorajszą butelkę.

Ta więc pani Lucyna wywołała właśnie teraz w Warszawie niepospolitą burzę, dzięki popełnieniu nowej ekscentryczności, która jednak pokazała się w skutkach daleko dotkliwszą dla bliźnich pani Ćwierciakiewiczowej, aniżeli epizod z nalewkami. Pani Lucyna ogłosiła mianowicie broszurę pt. „36 panien“, która jest najhaniebniejszym paszkwilem na panienki, kształcące się w szkole kucharskiej pod kierownictwem sławnej autorki „365 obiadów.“ Dziwactwo jej dochodzi tutaj do granic aberracji. Dowiadujemy się z wspomnianej broszury, że jedna z panienek usiłowała panią Ćwierciakiewiczową okraść z brylantów, inna z gotówki, inna jeszcze manipulowała około szafki wertheimowskiej. Autorka nie wymienia

Szowinizm polski.

Pan Amfitieatrow znany jest już naszym czytelnikom pod pseudonimem *Old Gentleman*, jestto bez zaprzeczenia dobry fejlotonista, ale pisarz trochę powierzchowny, i często gęsto — nielogiczny w swych sądach i zapatrywaniach. *Old Gentleman* pisze o wszystkich bez wyjątku objawach społecznych, a od czasu do czasu urządza sobie wycieczki w dziedzinę polskości, których opisy potem zamieszcza *Nowoje Wremja*. Tym razem jako cel swej podróży wybrał sobie „szowinizm polski“, nie przeczuwając, że na nim można sobie nakręcić karku, zwłaszcza wtedy, gdy się nie umie odróżnić „szowinizmu“ od „głębokiej miłości ojczyzny i wszystkiego, co swoje“. Posłuchajmy jednak, co prawi pan *Old Gentleman*:

„Polacy dziwnym są narodem. Rosjaninowi trudno z nimi dojść do ładu. Naturze rosyjskiej prawie obcym jest szowinizm, do tego stopnia, że dotychczas nie mieliśmy potrzeby stworzenia własnego słowa zamiast tego dzikiego wyrazu z mało komu wiadomym źródłosłowem. (W języku polskim wyraz „szowinizm“ jest także obcą naleciałością. *Przyp. red.*). Przeciwnie, Polak jest szowinistą z szowinistów; w w trzech czwartych jest z szowinizmu zeszyty. Miłość własna i samochwalstwo, podniesione do zaciekłego rozgorączkowania, są tłem charakteru patrjoty polskiego, gdy mu dobrze idzie; w żadnej literaturze nie znajdziemy takiego ubóstwiania powyższych rysów charakteru, jak to, którego wzory pozostawili nam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, Kraszewski i zwłaszcza Sienkiewicz w słynnnej trylogji“.

„W tych dniach przeczytawszy trylogję Sienkiewicza, mimowoli pomyślałem: Cóżby było, gdyby historyczny romansopisarz rosyjski jął się napisania epopei ze swojskiej przeszłości, w rodzaju „Ogniem i mieczem“, „Potopu“ i „Pana Wołodyjowskiego“, z bohaterami, chwytającymi za szablę przy każdem uchybiającem słowie o Polsce, rąbiącymi nawpół po trzech ludzi odrazu, ze zgrzytaniem zębów rzucającymi się na każde straszydło na wróble, jeśli tylko ma ono na czole etykietę z napisem: „wróg“, a co główna, wszystkie klęski narodu polskiego przemieniającymi w zwycięstwa?

Jakżeby wyśmiano u nas takiego romansopisarza! Ktoby go chciał czytać! (Rzecz dziwna, że autor zapomiał, iż właśnie w Rosji *chcą* czytać Sienkiewicza, *Przyd. red.*) Rosyjski Zagłoba, Skrzetuski, Podbipięta, Wołodyjowski byliby niedorzecznemi karykaturami, narysowanemi śmiechowi gwoli; Polak zaś patrzy w nich, jak w źwierciadło, i jest najzupełniej zadowolony. Któremu z rosyjskich artystów słowa przyszłaby do głowy nierozsądna, jakby się zdawało, myśl opowiadania o nieszczęśliwych wojnach naszych — jako o pomyślnych, o pogromach — jako o zwycięstwach. Wszakże to nawet, biorąc rzecz zasadniczo, jest dosyć niedorzecznem: boć przecież mamy tuż obok historję, jako bezstronną oskarżycielkę poetyckiego oszukania. My, Rosjanie, z dumą powiedzieć możemy, że w tym wypadku jesteśmy zgoła wolni od takiej ułudy.

Porównajcie naszą epopeję narodową „Wojna i pokój“ Tolstoja z trylogją Sienkiewicza i podziwiajcie, do jakiego zaparcia się siebie dochodzi w poszukiwaniu prawdy historycznej artysta rosyjski, a jak bezbożnie natomiast w interesie narodowej miłości własnej kazi ją artysta polski. Ale po co powoływać się na Tolstoja z jego rokiem 1812 — rzeczą starą, na którą, z powodu odległości czasu, patrzeć możemy mniej lub więcej obojętnie? Oto powieści W. J. Niemirowicza-Danczenko — pisarza, który mówiąc nawiasem, co do siły i jaskrawości obrazów wojennych bardzo przypomina autora trylogji — są napisane nieledwie w ogniu kampanji rosyjsko-tureckiej, z bezpośrednich wrażeń romansopisarza. Powieści te czytano chciwie, rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy — a znajdźcie, proszę, w nich chociaż jedną stronicę kłamstwa, nakreślonego gwoli dodaniu ognia do pieca szowinizmu, gwoli rozweseleniu walecznego Rossa grzmotem zwycięstwa, które nie istniało.

Stare ironiczne przysłowie rosyjskie, że „Turcy walą się jak kloce, a nasi po kolana we krwi, bez głów stoją i tabaczkę zażywają“, wije się, jak nić czerwona, w naszej beletrystyce wojskowej, bez ujmy dla dumy narodowej. Rosja liczy zbyt wiele zwycięstw, aby się miała wstydzić i wypierać poprzednich klęsk; nie zawahaliśmy się przecież nawet w czasie samej wojny przyznać, że Pugaczew zwyciężał jenerałów Katarzyny.

A spojrzcie, jak dziko gestykulują, jak strasznie przewracają oczyma i zgrzytają zębami rycerze Sienkiewicza na samą myśl, że ich szlachetne szable będą się musiały skrzyżować z szablami zbuntowanych chłopów. Historja, którą, niewątpliwie, znają i czytelnicy polscy, poucza, że podczas wojen o wyswobodzenie Malorosji, Polacy z bardzo małymi wyjątkami, bywali bici, niby owe, jak to mówią, „kozy Sidora“. Spróbujcie znaleść chociaż ślad tych klęsk u Sienkiewicza. On połyka wielkie bitwy przegrane przez Polaków, rozciągając natomiast na dziesiątki stronnic nic nieznaczące potyczki lub drobne epizody bitew, w których Polakom działo się pomyślnie. Bohaterowie jego tak wiele zwyciężają, że koniec końcem pozostaje zagadka: Dlaczegóż jednak ich zwyciężono? Rosjanin roześmiałby się z tego, a Polacy nie za „Bez dogmatu“, nie za opowiadania, nie za opisy podróży, nie za „Szkice węglem“, ale właśnie za tę melodramatyczną trylogję uznają w Sienkiewiczu wielkiego pisarza... czytają i krztuszą się od słodkiego złudzenia.

Inną ciekawą stroną szowinizmu polskiego jest niezwykła obraźliwość Polaków — ich „nie ruszaj mnie“, skoro tylko dotknąć jakiegokolwiek ich narodowego fetyszu, chociażby z całym dlań szacunkiem i bez chęci poniżenia jego wartości. A gdy Rosjanin mówi o Polakach, oni z podejrzliwością, godną lepszego zastosowania, wyszukują w słowach jego nie to, co powiedział o nich dobrze, lecz, przeciwnie, wszystkie napomknienia o ich wadach, i zbierając te przymówki, z boleścią wnet wołają: „Otóż jakie bezecne zdanie o nas mają! Oto, jak są nam wrodzy, jak nas nienawidzą. Czy możemy po tem wszystkiem oczekiwać od nich czegoś porządnego?“

Niedawno, mówiąc o konieczności wzniesienia pomnika Puszkinowi w Petersburgu, napisałem, że Puszkin ma większe znaczenie dla Rosji, aniżeli Mickiewicz dla Polski. Nie porównywałem nawet poetów, nie mówiłem, że „Mickiewicz nie wart jest czyścić butów Puszkinowi“, jak raczył się wyrazić (ale ma się rozumieć z odwrotnem przestawieniem nazwisk) jeden z Polaków, którzy pisali do mnie właśnie z powodu powyższego zdania. Powiedziałem tylko dosłownie to, co wyżej napisano, że znaczenie Puszkina jest dla Rosji większe, niż znaczenie Mickiewicza dla Polski. Puszkin jest twórcą literatury rosyjskiej, jest pierwszym i najzupełniejszym wyobrazicielem rosyjskich ideałów narodowych, a, rzec można i twórcą naszego światopoglądu. Mickiewicz zaś — to wielki talent, wyrosły na gruncie długiej kultury historycznej, skrystalizowanego światopoglądu, ideałowo urobionych jeszcze w XVIII stuleciu, w formach wyraźnych i ustalonych. Tamten był inicjatorem tego, co nie istniało przed nim; ten — dalszym kierownikiem istniejącego dawniej dzieła. Puszkin nie miał do czego się przyłączyć, wszystko musiał sam tworzyć; Mickiewicz miał poza sobą wielką literaturę poprzedników, z którymi łączy się bezpośrednio, jako brat dojrzalszy i bardziej utalentowany, ale nie jako reformator. Słowem, Mickiewicz jest synem dawnej Polski, a Puszkin ojcem nowej Rosji. Mickiewicz jest świetnem odbiciem pierwszych dwóch ćwierci XIX stulecia, a Puszkin jest siłą, którą odbił na sobie rosyjski XIX wiek. W takiem znaczeniu powiedziałem i powtarzam, że Puszkin zdziałał dla Rosjan więcej — nietylko, niż Mickiewicz dla Polaków, ale i więcej, niż Wiktor Hugo dla Francuzów, a Byron dla Anglików. Kto zaś z nich jest wyższy wzrostem, a kto niższy na miarę genjalności bezwzględnej — tego, według mego przekonania, roztrząsać nawet nie wypada. I Puszkin jest wielki, i Byron, i Hugo, i Goethe. Pomniki wielkim ludziom naród stawia nie za ich wielkość bezwzględną, że tak powiem, w przestrzeni, ale za to, że wielki człowiek był członkiem swojego narodu, pracował dla niego i ku jego dobru stworzył olbrzymią spuściznę moralną. Chętnie uznajemy wielkość Hugo, Byrona, Mickiewicza, ale zgódźcie się, że pomnik postawiony któremuś z nich na którymbądź placu petersburskim, wyglądałby bardzo dziko. Co to? zkąd i dlaczego? Również wątpię, czy miasto Kraków upiększy się kiedykolwiek pomnikiem Puszkina.

A co do talentów wszyscy oni są wielcy.

Za frazes wypowiedziany posypał się na mnie ze strony Polaków grad listów z wymówkami. A przecież uchodzę za polonofila!“...

Istotnie konia z rzędem można dać temu, kto zrozumie, za co p. Old Gentlemana nazwano polonofilem. Co do nas jednak, chętnie darowaliśmy mu jego polskie sympatje lub antypatje, byle ten pan okazywał więcej sumienności w badaniu spraw, o których głos zabiera. Uwagi jego o charakterze polskim znamionują dyletanta i reportera, a nie poważnego publicystę, za jakiego niestety w Rosji uchodzi. P. Old Gentleman powiada naprzód, że nie rozumie, jak Sienkiewicz mógł apoteozować klęski polskiego oręża, a zaraz potem zarzuca mu, że starannie omija niepowodzenia wojenne Polaków, podnosząc drobne potyczki do znaczenia bitew. Gdzież sens? Ale obok tego braku logiki p. Old Gentleman używa kłamstwa jako broni. Opisując Piławce i przegrane szwedzkie, nie „omija“ Sienkiewicz wcale niepowodzeń, a już chyba do historji niech p. Old Gentleman ma żal o to, że pozwoliła nam zwyciężyć w „potyczce“ pod Beresteczkiem. Nakoniec, umysł publicysty rosyjskiego jest za ciasny, ażeby zrozumieć, że twórca trylogji, odtwarzając epokę wielkich klęsk, apoteozował nie same owe klęski, lecz siłę żywotną narodu, która pozwoliła mu wybrnąć szczęśliwie nawet z tak strasznych katastrof. To u nas rozumieją nawet pensjonarki, które wcale nie pisują artykułów o szowiniźmie narodowym.

wprawdzie nazwisk, opisuje jednak swoje ofiary tak dokładnie, z wymienieniem stosunków rodzinnych itd., że znajomi poznają je bardzo łatwo.

Można sobie wyobrazić, jakie oburzenie wywołała w Warszawie zwarjowana książeczka pani Ćwierciakiewiczowej. Od kilku tygodni zajmuje się nią prasa warszawska, poświęcając jej aż za wiele miejsca i nie mając dość dobitnych słów na napiętnowanie autorki. Słowem najprawowierniejszy skandal. Co do nas, sądzimy, że elukubracją tą powinna się zająć tylko prasa — lekarska. „Recenzja" z książki pani Ćwierciakiewiczowej byłaby tam zupełnie na miejscu.

Do naśladowania!

Z Meranu donoszą: Pomimo, iż tutejszy zarząd kąpielowy jest prawie wyłącznie filosemicki, był jednak zmuszony ze względu na przyzwoitszą część gości kąpielowych wystąpić energicznie przeciwko tym żydom galicyjskim, którzy tutaj podczas sezonu, niestety z krzywdą dla miejsca kąpielowego, w znacznej liczbie bawią, a których niechlujny wygląd zanieczyszcza parki i spacery. Już w roku zeszłym powzięto pod tym względem uchwałę i teraz rozesłano ją urzędnikom kąpielowym z surowem poleceniem przestrzegania jej treści. Każdy z wymienionych wyżej „goszczy" otrzymuje przy pojawieniu się swem w zakładzie kąpielowym kartę z następującym tekstem:

„Uwaga! Wejście na deptaki, do parków i do zakładów kąpielowych dozwolone jest tylko w zwykłem, współczesnem, czystem i schludnem ubraniu, włosy na głowie i brodzie mają być utrzymane w porządku, a czyszczenie nosa bez chustki nie jest dozwolone. Dłuższe przebywanie w korytarzach zakładu kąpielowego, jak również używanie znajdujących się w nich kanapek i foteli do leżenia i drzemki, również jest zakazane. Postępujący wbrew tym przepisom będą przez organy zarządu kąpielowego bezwzględnie wydalani, tak z miejsc spacerowych, jak i zakładu kąpielowego. *Zarząd zakładu kąpielowego*".

Czyby i nasze zakłady kąpielowe, idąc za przykładem Meranu, nie zechciały zaprowadzić u siebie czegoś podobnego? Naród „wybrany" zanadto się już w nich rozpanoszył i odstrasza przyzwoitszą publiczność.

Raj dla kobiet.

Cudzoziemca przybywającego do Johannesburgu, tego środowiska handlu złotem w Afryce południowej, uderza nie tyle wspaniały widok miasta, ile jaskrawy tłum ludzi, którzy je zamieszkują. W Johannesburgu spotkasz publiczność ze wszystkich krańców świata, a większej rozmaitości typów, strojów i zwyczajów nie można sobie wyobrazić. Tutaj kroczy wysoki Hindu w białym turbanie, tam Parsi z Bombaju, którego poznasz po wysokiej czarnej czapie i stalowych okularach, z po za których spogląda badawczo para rozumnych oczu, tam idzie czekoladowo brunatna kobieta ze szczepu Amatongów, prowadząca małe nagie dziecko, stamtąd znowu zbliża się kilku paplających Hotentotów.

Mieszaną jest także publiczność biała, spotkasz tutaj przedstawicieli wszystkich krajów, którzy przybyli tutaj gnani żądzą zdobycia złota. Ten młody człowiek, w kapeluszu, z szeroką kresą i w kratkowem ubraniu, to niewątpliwie Niemiec; ta gruba dama w żółtej bluzie i zielonej sukni, z pierścieniami na tłustych palcach, od której na sto kroków czuć zapach moszusu, przybyła tu zapewne z Berdyczowa, Podwołoczysk, Lwowa, lub Brodów. Orjentalne fizjonomje, których się tutaj spotyka bardzo dużo, przyczyniają się do nadania miastu specjalnego piętna. Atoli najbardziej zadziwia prawie zupełny brak ludzi starszych i nadzwyczaj mała ilość kobiet.

Na dwudziestu mężczyzn jedna kobieta. Nie dziwić się, że świat męski i tak już posiadający słabość dla płci pięknej, widzi tutaj w kobiecie półboginię i rozpieszcza ją w wszelki możliwy sposób. A kobiety johannesberskie umieją wyzyskać to położenie. Potrzeba im tylko wypowiedzieć życzenie, a będzie natychmiast spełnione. Przeważna część mężczyzn znajduje się w wieku pomiędzy 25 a 45 rokiem. Naturalnie, każdy z nich sili się wobec dam na grzeczność nadzwyczajną, tak, że panie te, wróciwszy do ojczyzny, zapewne nie miałyby słów potępienia dla szorstkości i nieokrzesania swych rodaków.

Niejedna z dam transwaalskich tęskni zapewne od czasu do domu, atoli, wróciwszy, niewątpliwie zwracałaby się znowu myślą ku Transwalowi. Panie johannesburskie godne są tej czci, jaką bywają otaczane. Śmieją się one 6 dni w tygodniu, tyranizują każdego uśmiechem i wdzięczne są za każdą grzecznostkę. Dla mężów niema żadnej rzeczy za kosztownej, aby sprawić nią przyjemność ozdobie domu. Tem większą też radość sprawia kobiecie johannesburskiej jakakolwiek niespodzianka. Mężczyźni przemyśliwają też nad tem, jakąby jej sprawić przyjemność.

Atoli niejednego z nich trzeba porządnie brać w kluby. Niedawno odbywał się bal w domu pewnej pięknej Amerykanki, która sprowadziła do siebie młodszą, ładną przyjaciółkę z Chicago, aby ją tutaj wydać za mąż. Wybrała dla niej miljonera. Po balu pyta się panienki: „No i jak daleko zaszłaś z wybranym? Byliście przecież więcej, niż pół godziny sami w salonie". Oburzona odrzekła młoda piękność: „On? ten osioł, przyglądał się cały czas srebrom, szukając stempli fabrycznych".

Lecz tego rodzaju pomięszanie umysłu u mężczyzn rzadko się zdarza. Pomimo jednak skłonności mężczyzn, aby się przypodobać damom, odbywają się często popołudniowe herbatki, z których płeć męska zupełnie jest wykluczona. Na herbatkach tych — gdzie, tak samo, jak w Europie — uprawia się obgadywanie bliźnich — widać po wyrazach, płynących z ust różnych, iż kolebka niejednej z tych pań nie stała w najdystyngowańszych dzielnicach. Ale to nikomu ujmy nie czyni, gdyż wszystkie z tych pań dużo mają pieniędzy, a jutro mieć będą jeszcze więcej.

Oprócz obgadywania bliźnich, na herbatkach tych rozmawiają także o rzeczach poważnych. Niedawno np. wydał prezydent Krueger rozporządzenie, zakazujące w niedzielę i w szabas grywania na fortepianie i wycia psów. Oburzyło to do żywego cały świat elegancki Johannesburgu. Krueger ma przeciw sobie damy — a to na dobre mu nie wyjdzie.

Nowy metal.

Exel silver, tak nazwali Anglicy nowy metal, posiadający połysk srebra w odcieniu między niklem a srebrem, to jest, bielszy jest od niklu, a ciemniejszy od srebra. W samej istocie swej nie jestto metal w chemicznem znaczeniu tego słowa, lecz spław metaliczny, składający się z miedzi i różnych innych metalów. Nowy metal różni się wielce w swych właściwościach od miedzi: nie posiada żadnego zapachu, właściwego przedmiotom miedzianym wogóle, grzeje się doskonale, nabierając twardości i giętkości stali. Wilgoć, w której żelazo pokrywa się grubą warstwą rdzy, a miedź śniedzią, nie działa wcale na nowy metal, który nie traci swego połysku nawet w bardzo wilgotnem powietrzu. Tak samo nie wywierają na niego wpływu ani kwasy organiczne, ani roślinne i mineralne oleje. Prócz tego posiada wszystkie właściwości żelaza i miękkiej stali, nie posiadając ani jednej z właściwych tym ostatnim wad.

Wyrób przedmiotów z *exel silver* kosztuje przeciętnie 1 frank i 20 centimów za kilogram, podczas gdy wydatki na wyrób różnych rzeczy z białych metali wynoszą około 3 franków za kilogram. Na tej podstawie pisma techniczne przepowiadają nowemu metalowi świetną przyszłość i jednogłośnie oświadczają, że ten metaliczny spław wkrótce zastąpi miedź, nikiel, wszystkie białe metale, a nawet miękką stal we wszystkich tych wypadkach, gdy ta ostatnia podlega wpływowi kwasów. Innemi słowy, nowy metal będzie bardzo dobrym na sprzęty kuchenne, a nawet może służyć do wyrobu nożów, widelców, reflektorów, drutów telegraficznych i telefonicznych itd.

„Którzy maią bydź w radę obierani?"

W części pierwszej „Artykułów prawa magdeburskiego" (wydanie przemyskie z r. 1760) w rozdziale o „Radzie miejskiej" czytamy pod powyższym tytułem, co następuje:

Dla pożytku miejskiego, maią bydź obierani w radę ludzie dobrzy, mądrzy, lat zupełnych, przynaymniej we dwudziestu y w pięciu lat, w Mieście osiedli, wszakże nie bardzo bogaci, ani też ubodzy, ale średniego stanu: albowiem bogaci, a możni, częstokroć zwykli Rzeczpospolitą uciskać y niszczyć: ubodzy za się jako łacni, żadnego pożytku nie czynić. Ale srzedni ktemu są naisposobnieisi, którzy na swym przestawając, cudzego nie pożądaią, a pospolitą rzecz nad własną przekładają (Jure municip. art. 44). Nadto maią bydź z prawego Małżeństwa narodzeni doma zawdy mieszkaiący, y dobrey sławy, Boga się boiący, sprawiedliwość y prawdę miłuiący, kłamstwo y złość w nienawiści maiący. Taceinnic Mieiskich nie obiawiaiący, w słowach y w uczynkach stali, łakomstwem się brzydzący, darów nie naśladuiący, mierni, nie piianice, nie dwuięzyczni, nie podchlebcy, nie błaznowie, nie natrętowie, nie cudzołożnicy, nie oni, których żony rządzą, nie lichwiarze, nie fałszerze, nie zwadliwi. Albowiem, zgodą małe rzeczy mnożą się, a niezgodą wielkie niszczeią. Też nie ma bydź na to obieran człowiek obcy y inszego prawa, y komuby było dziewiędziesiąt lat. *Iure Mun. artic. eodem.*

Małżeństwo u Kirgizów.

Pod osłoną i opieką t. zw. sądu ludowego istnieje u Kirgizów zupełnie formalna sprzedaż i kupno kobiet, a nawet dzieci, w celach małżeńskich, ze wszystkiemi prawnemi następstwami takiego interesu. A mianowicie, samo małżeństwo zawiera się w ten sposób, że przedtem dokonywa się sprzedanie dziewczyny w małżeństwo. Strony umawiają się o to, że jedna z nich pragnąc kupić dziewczynę w małżeństwo, ofiaruje drugiej za nią oznaczony „kałym," a druga strona zgadza się wydać pierwszej dziewczynę, skoro ten „kałym" otrzyma. Na tem polega istota swatanie u Kirgizów. Następnie narzeczony i jego krewni zaczynają spełniać swój obowiązek, płacić umówioną za dziewczynę cenę, a gdy go wypełnią, zapłaciwszy „kałym," wtedy rodzice albo krewni wypełniają i swój obowiązek — oddają narzeczoną narzeczonemu, a to oddanie jest zarazem obrzędem ślubnym.

Naturalnie, swataniu i weselu towarzyszą rozliczne inne zwyczaje oraz czytanie modlitw, wszystko to jednak niema żadnego prawnego znaczenia w ustanowieniu małżeństwa, dla tego, że zapłata „kałymu" i oddanie narzeczonej przyszłemu mężowi, zupełnie wystarczają do zawarcia legalnego małżeństwa, obrzędy zaś, towarzyszące temu czysto cywilnemu interesowi, pod względem prawnym nie różniącemu się od zwykłego kupna konia lub wielbłąda, mają widocznie tylko znaczenie nadać swataniu i weselu charakter publiczny, w celu uniknięcia możliwych w następstwie sporów i poświęcenia zawartego interesu błogosławieństwem religji, aby młodemu stadłu dobrze się wiodło.

Niestety, badacze obyczajów i zwyczajów małżeńskich u Kirgizów mało zwracali uwagi na ich czysto prawną stronę i dlatego według dotychczasowych danych nie można sobie wyrobić należytego pojęcia o małżeństwie kirgizkiem. A tymczasem, jeżeli weźmiemy małżeństwo Kirgizów takiem, jakiem ono jest w istocie, to jest jako zwykła sprzedaż i kupno kobiety dla małżeństwa — to wszystkie weselne zwyczaje Kirgizów znajdą się w logicznym systemie, wynikającym z prawnego pojęcia o kobiecie, jako o niewolnicy sprzedawanej i kupowanej dla małżeństwa i stanowiącej przed zawarciem go własność rodziców i krewnych, a po zawarciu własność męża i jego rodu.

Ruiny Otraru.

W gubernjach syberyjskich znajduje się dużo zabytków odległej przeszłości, wzbudzających zainteresowanie turystów, którzy je od czasu do czasu zwiedzają. W rzędzie tych zabytków zasługują na uwagę ruiny starożytnego miasta Otraru w pobliżu ujścia Arysu do Syr-Darji. Początek Otraru ginie w mrokach legendowej przeszłości. Wiadomo tylko, że hordy Czyngishana zajęły Otrar w 1219 r. i ograbiły mieszkańców doszczętnie. Inny wielki wojownik Wschodu, Tamerlan, upodobał sobie Otrar, w którym co roku spędzał 40 najbardziej upalnych dni letnich, w powrocie z pielgrzymki do Chazretu. W czasie jednej z tych pielgrzymek umarł w dniu 18 lutego 1405 roku. Wiadomość o śmierci Tamerlana tak silnie podziałała na mieszkańców Otraru, że wielu z nich ze strachu uciekło w góry.

W obecnej chwili, na gołym stepie z oddali widnieje olbrzymi pagórek, stojący samotnie. Jest to cytadela dawnego miasta. Przy bliższem wpatrzeniu się w okalające cytadelę ruiny, dochodzimy do wniosku, że starożytny Otrar składał się z fortecy, właściwego miasta i rozległych przedmieść, za któremi ciągnęły się ogrody. Cała ta przestrzeń zajmowała mniej więcej 100 wiorst kwadratowych. W odległości kilku wiorst od twierdzy znajduje się nieźle zachowany starożytny cmentarz. W pobliżu cmentarza znajduje się meczet, a dalej nieco studnia z wyborną wodą. Tu mieszka kilku pustelników Sartów.

W środkowej dzielnicy ruin miejskich od strony zewnętrznej wielkiego rowu fortecznego istnieje niewielki otwór, prowadzący do lochów podziemnych. Mówią, że przed rokiem przybył umyślnie do tych lochów z Mekki pewien duwana, który wyczytał w „świętych księgach", że w miejscu tem zakopane są nieprzebrane skarby. Przybysz ów siedział w lochach dwa miesiące a następnie niepostrzeżenie znikł z okolicy. Niewiadomo wszakże, jakim był rezultat jego poszukiwań.

Z historji bankructw.

W dziejach katastrof finansowych dotychczas naczelne miejsce zajmuje olbrzymie bankructwo Johna Lava, obok czego blednie nawet krach wiedeński w r. 1873, francuska Panama Lessepsa i spółki, tudzież włoskie Panamino dyrektora Tanlonga. Nawiasem dodajmy, iż słowo bankructwo pochodzi od włoskiego *banco rotto* lub *banca rotta*, we Włoszech bowiem, skąd wzięły początek kantory wekslarskie, gdy bankier nie mógł się wywiązać ze swoich zobowiązań, łamano, na znak jego niewypłacalności, ławę (*banco*), na której zmieniał pieniądze. Powracając do największego w dziejach bankruta, Johna Lava, zauważyć należy, iż dziś jeszcze, pomimo gruntownych badań Thiersa, Lavassera, Homa i w. i., sąd o Lavie nie jest ustalony. Jedni uważają go za fanatyka teorji ekonomicznej, inni jako pospolitego szarlatana i awanturnika, inni jeszcze jako ofiarę stosunków. To pewna tylko, że zarówno zdumiewający rozkwit jego wszystkich przedsiębiorstw bankowych, jako też ich nagły upadek, sprowadził skrajny przewrót w stosunkach społecznych i przyczynił się do wywołania tego zamętu, z którego ostatecznie wyłonił się kataklizm wielkiej rewolucji. Lav wystąpił ze swymi pomysłami finansowymi po raz pierwszy w r. 1705, gdy parlament szkocki zabierał się do reorganizacji banku krajowego. Wtedy ogłosił Lav broszurę „Money and trade", zawierającą wszystkie zasady, na których oparł później system swój w Paryżu, system, dążący, jak powszechnie wiadomo, do zupełnego usunięcia monety brzęczącej i zastąpienia jej banknotami. Ale od samego początku Lav nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć o tej prawdzie, że pieniądz papierowy państw lub banków jest tylko wekslem lub asygnatą na monetę brzęczącą. Odprawiony z niczem w Edymburgu, śmiały projektodawca postanowił na razie rozpocząć przedsięwzięcie w rozmiarach skromniejszych i zadowolił się koncesją na bank prywatny, której udzielił mu rząd francuski. Następnie jednak, od roku 1719 rozpoczęła się pamiętna w dziejach finansowych epoka, którą możnaby nazwać nie tańcem już, lecz orgją około złotego cielca. Dzieje tej orgji i tego „krachu" są z historji Francji dostatecznie znane; dość przeto przypomnieć, iż w r. 1720 Lav i jego bank zawiesił wypłaty, poczem twórca systemu banknotów musiał uciekać do Brukseli. Człowiek, który rozporządzał przez lat kilka nie miljonami, lecz biljonami franków, umarł w nędzy w Wenecji.

Przeciw dramatowi nowożytnemu.

Słynny niemiecki dramaturg Ernest Wildenbruch wystąpił w jednem z pism w namiętny sposób przeciw nowożytnej niemieckiej sztuce dramatycznej, którą streszczają w sobie: Sudermann i Hauptmann. Dla Wildenbrucha sztuka ta jest objawem rozkładania się ducha niemieckiego, jest czemś obcem niemieckiej naturze, która lubowała się zawsze w czemś wyższem, aniżeli w zdradach i konfliktach małżeńskich, kopjowanych z francuskich wzorów, mianowicie w wielkich postaciach i momentach narodowej historji. Jednem słowem: stare dobre czasy dramatu germańskiego przeszły już, a dramat polityczno-historyczny, — którego przedstawicielem głównym, nawiasem mówiąc, jest sam Wildenbruch, — cofnął się przed upiorem nowożytnej sztuki, która nie chce się zajmować wcielaniem „historycznego" ducha niemieckiego w swoje powiewne kształty. Przyczynę tego objawu tłumaczy Wildenbruch nadmiarem dobrobytu Niemiec — i ten właśnie ustęp jego wywodów jest zajmującym. Po ostatnich wielkich wypadkach, które skleiły organizm narodu w jedną całość pod skrzydłami Hohenzollernów, urodziło się pokolenie, wzrosłe wśród zupełnie odmiennych warunków, aniżeli te, w jakich od setek lat rozwijały się pokolenia niemieckie. Dotychczas młodzież niemiecka, gdy dojrzała, zastawała stosunki takie, że one ją pchały w ramiona czynu, walki. Ostatnie pokolenie wzrosło przeciwnie w uporządkowanych wzorowo, spokojnych i gładkich warunkach. Wszystko to, co jego poprzednicy usiłowali zdobyć duszą i ciałem zastało gotowe. Krótko mówiąc: młodzież niemiecka dotąd rosła zawsze głodna — obecnie po raz pierwszy jest sytą. Sytość jednak jest dla człowieka, a osobliwie dla niemieckiego Michla, stanem niebezpiecznym. Bo Niemiec — powiada Wildenbruch — to nie jest świetlana, do wesołości usposobiona natura, lecz ciemna, skłonna do zadumy! jest on większym w nieszczęściu, aniżeli w dobrobycie. Już Tacyt opowiada o Germanach, że powróciwszy z wojny i polowania, obżerali się i upijali, kładli się na skórach niedźwiedzich i albo dogadzali swojej lubieżności, albo przegrywali dom, żonę i nawet wolność osobistą. To pokolenie podobne było do owego syna bogatego dorobkiewicza, który marnuje odziedziczony majątek. Podobnie dzieje się i teraz. Dobrobyt rozmarza i usypia duszę tak, jak ciepła kąpiel ciało. To nowe pokolenie literackie — powiada Wildenbruch — które nigdy nie powąchało prochu, patrzy z pogardą na tłum, czczący potęgę Niemiec i obsypuje go gradem słów obelżywych. Jestto pokolenie sytości i rozkładu. Krótko mówiąc, wedle tego szacownego archeologa dramatycznego, trzeba koniecznie „wąchać proch", ażeby módz stworzyć cudne, tęczowe obrazy „Hanusi" i potężne akordy „Dzwonu zatopionego".

Rozmaitości.

Aresztowanie samozwańczego biskupa. Z Buffalo w Ameryce, donoszą o aresztowaniu Stefana Kamińskiego, „biskupa" polskiego niezależnego kościoła w Buffalo, za fałszerstwo w drugim stopniu. Przerobił on weksel, wystawiony przez Władysława Górskiego, Józefa Pacholskiego, Michała Dorbiałę, Franciszka Klingera i Jana Stóczkowskiego na Piotra Makowskiego, który był wówczas prywatnym sekretarzem Kamińskiego. Owa czwórka na weksel ten pożyczyła sumę tam wymienioną i dała te pieniądze Materkowskiemu, niezależnemu księdzu polskiemu, który wyjeżdżał z Buffalo. Kamiński protestował, że aresztowanie jego jest gwałtem i zamiast iść z policjantami publicznie ulicą, wolał nająć za własne pieniądze powóz, w którym go zawieziono na stację. Tam żądał, aby go natychmiast wypuszczono za kaucją, ale mu powiedziano, że nikt nie ma prawa postawić kaucji za więźnia oskarżonego o takie grube przestępstwo. Kiedy go zamknięto, modlił się gorąco, klęcząc na kamiennej podłodze w celi.

(Polak w Ameryce.)

Śmierć suchotom! Z za oceanu nadchodzi wiadomość, iż Mikołajowi Tesli udało się zabijać bakcyle tuberkuliczne za pomocą silnego prądu elektrycznego. Obecnie przyjaciel Tesli, poseł do rady państwa, radca dworu Kareis, jeden z wybitnych elektryków, ogłasza ciekawe szczegóły o tym nowym wynalazku, który, gdyby istotnie był pożytecznym, odebrałby niezasłużoną zresztą sławę berlińskiemu Kochowi. Dzisiaj na to pytanie jeszcze odpowiedzieć nie można, jednakowoż, zdaniem Kareisa, nie odpowiada faktom postawione z jednej strony twierdzenie, iż prąd elektryczny niszcząc bakcyle, musi także niszczyć i organizm. Tkanki tego ostatniego mają inną strukturę, jak nieskończenie małe bakcyle tuberkuliczne, dlatego też jest rzeczą bardzo możliwą, iż bakcyle nie mogą się oprzeć silnemu prądowi, podczas gdy tkanki pozostają nienaruszone. W jaki sposób odbywa się niszczenie bakcylów — dotychczas jest tajemnicą wynalazcy.

Długość dnia i nocy można sobie dokładnie obliczyć bez żadnych innych środków pomocniczych, jak tylko dobrze idącego zegarka. Jeżeli się godzinę wschodu słońca bierze podwójnie, otrzymamy długość nocy, podwojenie godziny zachodu słońca dają nam długość dnia. A więc naprzykład wschód o godzinie $7 \times 2 =$ długość nocy 14 godzin; zachód o godzinie $5 \times 2 =$ długość dnia 10 godzin.

([illegible])

Świadek z za grobu.

Powieść kryminalna z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

Dantin pochylił się nad próbami, badał je jedną po drugiej, odgadując w niewyraźnej cokolwiek fotografji portret mężczyzny; uważniej rozpatrzywszy się nawet, powoli dopatrzył w tem widmie jakiegoś niejasnego podobieństwa.

— Czy nie uważasz pan, — spytał pan Ginory — że ta fotografja przypomina nieco pana?

Na ten raz Jakób Dantin poczuł coś w rodzaju dławiącej jakiejś zmory, coby mu się kładła na piersi i oczy jego zbiegły się z oczyma pana Ginory, w jakiejś dziwnej trwodze. Wyraz ich zastanowił sędziego. Rzekłbyś, że nagle jakieś widmo stanęło przed wykiętym, pomięszanym człowiekiem.

— Pan mówisz, że to podobne do mnie? — spytał.

— Tak. Wpatrz się pan dobrze. Na pierwszy rzut oka, portret jest ledwie naszkicowany, odznaczony tylko. Przypatrując się lepiej, oddziela się od kręgu fotograficznego, uwydatnia i osobę, która się tam ukazuje, nabiera podobieństwa z panem, bierze pańskie rysy, pańską postać...

— To bardzo możliwe — wymówił Dantin. — Zdaje mi się w samej rzeczy, że widzę sam siebie w małem kieszonkowem lusterku, zamatowanem i okrytem parą. Ale co to ma znaczyć?

— To znaczy... Och zadziwię pana niezmiernie... To znaczy...

Pan Ginory zwrócił się do swego pisarza:

— Widziałeś, panie Gavaret, któregoś tu wieczora, doświadczenia, gdzie to doktor Oudin i doktor Barthélemy pokazywali nam serce i płuca, funkcjonujące w klatce piersiowej żywego człowieka, które uczyniły widzialnemi promienie Roentgena?.. A zatem i to nie jest cudowniejszem zjawiskiem!... Te fotografje (mówił teraz już wprost do Dantina) zdjęte zostały z siatkówki oka umarłego... Są one odbiciem, reprodukcją obrazu, przechowanego tam, fotografją ostatniej żywej istoty, na której spoczął wzrok konającego, ostatniem wrażeniem wzrokowem nieszczęśliwego... I siatkówka zmarłego oddała nam — to jest świadek! — obraz żywego, którego zmarły oglądał ostatniego na ziemi!

W tej ciasnej celce, w której szamotało się, jak pochwycona w sidła zwierzyna, tylu oskarżonych, tylu winnych, zapadła teraz dławiąca cisza pośród tych trzech mężczyzn, z których jednemu tylko zabrakło gruntu pod nogami pod wpływem nieopisanego przestrachu takiej rewelacji. Dla sędziego była to chwila stanowcza, chwila, w której wszystko zostaje wypowiedziane, gdzie badany przechodzi jeden wielki stopień męczarni, gdzie zmienia charakter i ze świadka staje się oskarżonym. Dla pisarza — otrzaskanego przecież już z wrażeniami codziennemi tego rodzaju — był to punkt kulminacyjny widowiska; moment, w którym na naprężonej, wyciągniętej z wody wędce, ryba szamocze się, uczepiona u baczyka.

Jakób Dantin ruchem instynktownym odrzucił, odtrącił na stole te fotografje, które mu paliły dłonie jak te karty, w którychby kabalarka odczytała wróżbę śmierci.

— A zatem? — zapytał pan Ginory nalegającym tonem.

— A zatem — powtórzył Dantin głosem zdławionym, nierozumiejąc, lub rozumiejąc może zanadto dobrze, broniąc się jak przed dławiącą go zmorą.

— Jakim sposobem tłumaczysz to pan sobie, że obraz twój, twój cień, jeśli pan wolisz, znajduje się odbitym w oku Rovère'a i że w chwili swego konania, pana właśnie on widział, tak, widział jakby pochylonego nad sobą?

Dantin spoglądał dokoła przerażonemi oczyma, zadając sobie pytanie, czy był zamknięty w więzieniu, czy pytanie, które mu zadawano, było realnem, czy głos, który doń przemawiał we śnie.

— Jak to wytłumaczę?... Ależ ja nie mogę tego sobie wytłumaczyć, nie pojmuję, nie wiem... To niedorzeczne, to nie może pomieścić się w głowie, to szaleństwo!...

— Trzebaż jednak — nacierał pan Ginory — aby to szaleństwo, jak je pan nazywasz, miało jakie bądź wytłomaczenie.

— Jakże pan chcesz, bym ja je dał panu? Nie rozumiem, powtarzam panu, nie rozumiem zgoła!

— Bądźcobądź, nie możesz pan zaprzeczyć, żeś był obecny w domu przy bulwarze Clichy w chwili śmierci Rovère'a...

— Dlaczego nie mogę zaprzeczyć?

— Ponieważ wizja, acz ulotna, acz mętna i niewyraźna pozostała na siatkówce, ponieważ ta fotografja, w której pan sam siebie poznałeś, oskarża, zdradza, twą obecność w chwili konania.

— Nie byłem tam jednak, przysięgam, żem tam nie był — wyrzekł Dantin z mocą.

— A więc wytłomacz pan to inaczej — odparł sędzia.

Dantin milczał przez chwilę pomięszany z zupełną pustką w głowie.

Potem oszołomiony wybąknął:

— Śnię... śnię chyba...

A pan Ginory mówił dalej spokojnym głosem:

— Zważ pan, że ja osobiście nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do tych prób fotograficznych. Nie na nich to samych opierać zamierzam moje oskarżenie. Ale one stanowią szczególniejsze świadectwo, bardzo niepokojące w swem milczeniu. Dodają one jedną wątpliwość więcej do tych, które pańska chęć milczenia poddawać musi sądowi. Mówisz mi pan, że nie byłeś u Rovère'a w chwili jego śmierci. Te próby nieodparte jak fakt, dowodzą czegoś wprost przeciwnego. Gdzież więc w dniu, w którym Rovère został zamordowany, pan byłeś?

— Nie pamiętam. W domu u siebie bezwątpienia. Musiałbym to sobie przypomnieć. O której godzinie Rovère został zabity?

Pan Ginory gestem oznajmił, że nie wie tego i drwiącym tonem dodał:

— O tem inni lepiej wiedzieć mogą odemnie.

A ponieważ Jakób Dantin patrzał nań zirytowany:

— Tak — dodał sędzia śledczy z podstępną grzecznością — chirurdzy, którzy wykazali, do której godziny należy odnieść zgon.

Przerzucił znowu akty:

— Nieszczęśliwy Rovère został prawdopodobnie zabity o pierwszej z południa... W pośród Paryża o takiej godzinie morderstwo to dość zuchwale!

— O tej godzinie — mówił Dantin — ja wyszedłem z domu.

— Dokąd?

— Przejść się po prostu, miałem migrenę. Przechadzałem się po Polach Elizejskich, w nadziei, że mi przejdzie.

— A na tej przechadzce nie spotkałeś pan nikogo?

— Nikogo.

— Nie wchodziłeś do żadnego sklepu?

— Do żadnego.

— Krótko mówiąc, nie masz pan *alibi*.

Na ten wyraz, raz jeszcze więcej zadrżał Jakób Dantin. Czuł jak oczka tej sieci zaciskają się dokoła niego.

— *Alibi*! A tak, stanowczo więc, panie — zawołał gwałtownie — oskarżasz mnie, żem zamordował mego przyjaciela?

— Nie oskarżam, badam.

I pan Ginory oschłym tonem, stawszy się naraz ucinkowym, groźnym, mówił dalej:

— Badam, ale ostrzegam pana, że rozmowa nasza przybiera dla pana zwrot niepomyślny. Nie chcesz pan odpowiadać, wydaje ci się, że masz prawo zachować przy sobie jakąś tajemnicę, jakąś informację, która nas obchodzić musi. Nie jesteś pan jeszcze w tej chwili wyraźnie oskarżonym... Ale, ale, ale... zostaniesz nim.

Sędzia śledczy przeczekał chwilę, jakby dając badanemu czas do namysłu i umaczawszy pióro w kałamarzu czekał z podniesionem w górę, jak komornik czeka z wzniesionym w górę młotkiem, nim przysądzi coś licytantowi.

— Mogę — zdawał się mówić — opuścić pióro, spożytkować tę kroplę atramentu!

Jakób Dantin, nieprzytomny zda się, stał w milczeniu. Ale w jego wzroku wyzywającym, czytać można było odpowiedź. „Czyżbyś się ośmielił? Jeśli zdołasz, uczyń!"

— Więc pan odmawiasz wytłumaczenia? — spytał po raz ostatni Ginory.

— Odmawiam.

— Ha, chciałeś pan tego. Upierasz się, by nam nie dać żadnych wyjaśnień, zastawiasz się nie wiedzieć jakim tam skrupułem, czy jakim obowiązkiem honoru, dla którego zachowujesz systematyczne milczenie?... Raz jeszcze: czy trwasz pan przy swoim uporze?

— Nie mam nic a nic do odpowiedzenia panu — odparł Dantin z pewnego rodzaju wściekłością.

— A zatem, Jakóbie Dantin — i głos sędziego śledczego stał się nagle poważnym, uroczystym — od tej chwili jesteś uwięzionym!

Pióro podniesione przed chwilą, spadło na papier. Nakreślił rozkaz aresztowania.

Pisarz popatrzył na mężczyznę stojącego u stołu. Jakób Dantin nie poruszył się z miejsca. Miał teraz na twarzy jakiś wyraz nieokreślony, apatyczny, bezmyślny, wzrok osłupiały istoty, coby śniła z otwartemi oczyma.

Pan Ginory nacisnął palcem jeden z kościanych guzików dzwonków, umieszczonych na swym stole i ukazując Dantina strażnikom, których kaszkiety ukazały się nagle na tle drzwi otwartych:

— Zabrać obwinionego — wymówił dobitnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)